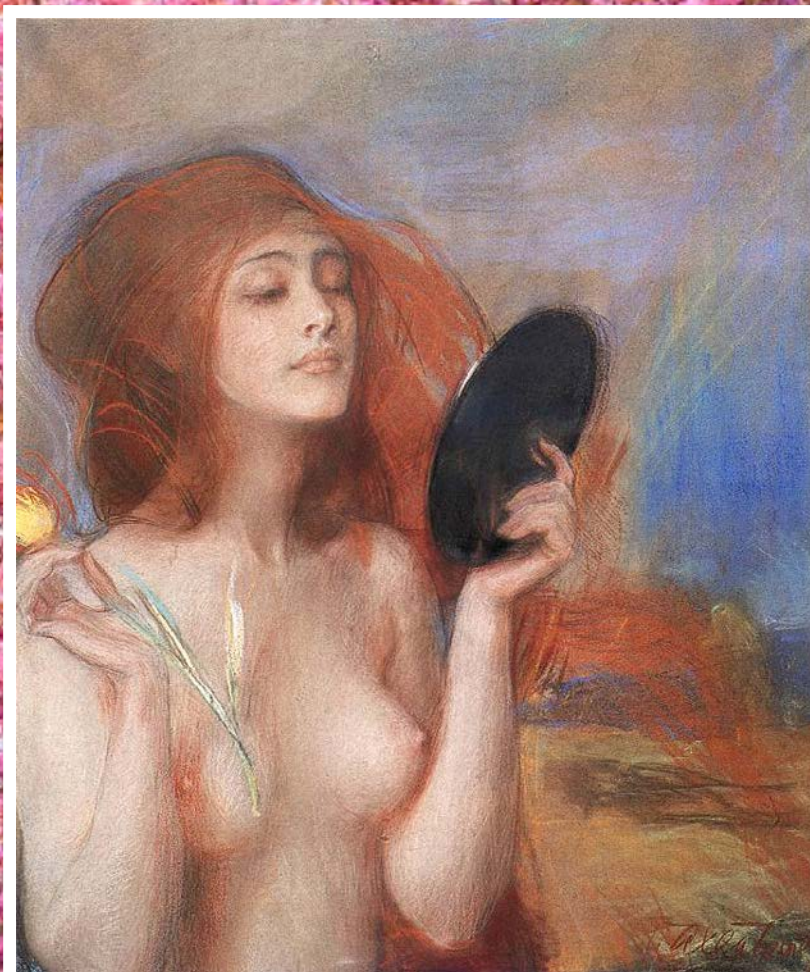


FORUM 88

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



Wiosna, Teodor Axentowicz

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Znaszli ten kraj?*
- Agata Ursyn, *Szkoła bez religii cz. II. Krótka historia decyzji z 1990 roku.*
- Piotr Szydłowski, *Sojusz ołtarza z tronem*
- Bogumił M. Woźniakowski, *Początki wolnomularstwa w odrodzonej Polsce*



1 **OD REDAKCJI** Basta!

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Piotr Augustynek – *Wstęp i opracowanie*
2 Tadeusz Żeleński-Boy – *Znaszli ten kraj?...*

MYŚLAĆ BELFREM

- 7 Piotr Augustynek – *Ale to już było...*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

- 8 *Seneka: Listy do Lucyliusza*

RELIGIOZNAWSTWO

- 10 Bogumił M. Woźniakowski – *Początki wolnomularstwa w odrodzonej Polsce*
16 Piotr Szydłowski – *Jansenizm*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

- 24 Kazimierz Pasenkiewicz – *Przygody z książką*

PAŃSTWO A KOŚCIÓŁ

- 32 Agata Ursyn – *Religia w polskiej szkole publicznej. Krótka historia decyzji z 1990 roku*
38 Piotr Szydłowski – *Sojusz ołtarza z tronem*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 41 Danuta Stolarek – *Aleksander I - „Sfinks Północy” i kobiety jego życia*

FELIETONY

- 52 *Odpowiedzialność*
53 *Gest*

55 LITERATURA

Z WITRYNY KSIĘGARSKIEJ

- 60 Piotr Szydłowski – *W obronie wartości europejskiego Oświecenia*

63 Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,
dr Adam Bańdo – sekretarz Rady.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

Basta!

Strasznie (sic!) się nam rozplenilo negowanie. Są po temu istotne powody. Ostatnio nie ma (prawie) szczepionek, no to i prawie nie ma terminów – w każdym razie dla większości potrzebujących. Ale jak może być inaczej, skoro na szczytach nie ma rozumu?

Zaczęło się od płaszcza w szatni. – Nie mamy pańskiego płaszcza; i co nam pan zrobi? Następnie zaczęła się kurczyć lista refundowanych leków i procedur medycznych (zabiegów, operacji). – Nie ma pieniędzy! Przez 10 lat nie chodziłem do lekarzy; cały czas potracano mi – z emerytury – składki zdrowotne. Potrzebuję czegoś dla podreperowania zdrowotnego komfortu (pesel jest bezlitosny) – tylko prywatnie! Publiczne to już pewnie zostaną wkrótce świadczenia w domach „nie całkiem prywatnych”; czyli też pełnopłatne (w dodatku coraz droższe, bo... inflacja).

No więc nie i nie. Nie mamy zdrowia, bo nie mamy pieniędzy. Nie mamy nauki, bo nie ma skąd brać na nią środków. Na tak zwane nauki tajemne za to są pieniądze. Nominacje profesorskie otrzymują badacze opierający się na „Kpinomirach” lub odkrywcy „bruzd dotykowych”.

Nie mamy oświaty, bo w edukacji dominuje ściemnianie. Trochę inne, niż w polityce, lecz skuteczne. Stąd się bowiem biorą politycy do tego stopnia iluminowani, że aż ciemni. Skutkiem tego decyzje „polityczne” brzemiennie – jeśli godzi się tak powiedzieć – upadkiem całych gałęzi gospodarki czy komunikacji.

Nie mamy, nie mamy, nie mamy. Czego nie mamy? Niewiele brakuje, byśmy mówili jak pewien niedoszły polityk, że nie mamy niczego. Coś jednak mamy! Co? Mamy wszechobecne „nie”: niepokój o to, co z nami będzie, bo jest niebezpiecznie. Mamy niedorozwój wielu istotnych dziedzin życia – jak choćby wdrażania wysoko rozwiniętych technologii (jak np. napęd wodorowy), czy efektywnych prac nad źródłami odnawialnych energii (jak choćby pływy morskie). Prawie wszystko to przez nieudolność niemądrych w dodatku decydentów, powołujących na najwyższe stanowiska państwowe niedouczonej pomocników.

Dochodzi do tego „bez”: beztroska rządzących i beznadzieja dostawców dochodu narodowego.

Wszędzie tylko nie i nie. Jedyne mój Zięć zachowuje się pod tym względem rozsądnie, choć i on nie stroni od „nie”. Zresztą istny mistrz asertywności; prawie zawsze ma jakieś wątpliwości, zastrzeżenia – słowem nic prawie mu się nie podoba. Jednak kiedy mu proponuję (nie jest jeszcze aż tak źle, bym nie mógł mu proponować raz na jakiś czas), żeby może został na obiedzie, odpowiada: – Nie powiem nie...

Mamy jednak coś, co napawa optymizmem. Tym czymś jest nadchodząca wiosna. Bo nadchodzi, czasem kulawa (bo powoli) i z katarem (przepraszam – z covidem), ale będzie. I niech ktoś, nawet najbardziej utytułowany spróbuje powiedzieć jej: NIE. Nic z tego.

Zatem życzymy sobie wiosny w nas i dla nas. Na przekór ponurym typom z bezobjawowymi mózgami. Bo oni i tak przemną. A wiosna będzie powracać.

Naczelny

Zawsze jest pora na zjawiska o charakterze kultowym, na osoby i sytuacje, które (choć po latach) zostaną uznane za ważne, przełomowe dla miejsca, dla społeczeństwa.

W kolejnym tekście Boya mamy właśnie do czynienia z takim zjawiskiem, z takimi ludźmi, bez których Kraków z przełomu wieków byłby inny. Może rozwijałby się w innym kierunku.



Tadeusz Żeleński-Boy

Stanisław Przybyszewski odegrał rolę granatu wrzuconego do z lekka zatęchłego stawu. „Stasi-nek” i jego akolici oczywiście byli symbolem dekadentyzmu, zepsucia, burzenia przyzwoitych zasad życia itd. To na nich wskazywano jako na rozsądnika zła, rozwiąźłości, nihilizmu. Tak rosła „czarna legenda”, moczona w alkoholu, utrwalana atmosferą skandalu, tajemniczości, braku hamulców. Tekst Boya wbrew pozorom nie tymi zagadnieniami się zajmuje. Boy próbuje zrozumieć psychologię opisywanych przez siebie wydarzeń. Ma do tego prawo, bo tam był. Jak sam oświadcza, był na tyle trzeźwy, by spokojnie (choć nie beznamiętnie) prowadzić obserwację uczestniczącą.

Jak zatem dzisiaj rozumieć opisywane orgie, czy może ekstremalne wydarzenia towarzyskie? Myślę, że o wartości przytaczanych faktów zdecyduje czas. Czas pokaże, czy mamy do czynienia ze zwykłym nieposkromionym pijaństwem, czy też z tajemniczym przełomem w kulturze. Pod tym względem nic się nie zmieniło, mimo upływu czasu.

Wybór, opracowanie i wstęp: Piotr Augustynek

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

Znaszli ten kraj?...

Oto melodia, która mi się przyplątała mimo woli i która mnie prześladowa od chwili, gdy zamierzałem dalej snuć swoje wspomnienia na marginesie *Moich współczesnych* Przybyszewskiego. I widzę bardzo wyraźnie taką scenę. Świt, filująca lampa dogasa, okno balkonu otwarte na ogród, z którego wnika chłód poranka i ćwierkanie ptaszków. Stach śpi głęboko w fotelu, cała jego gromadka, z zielonkawymi twarzami, kipi porozkładana, gdzie

tam któremu popadło, a w środku, pod stołem, leży młody medyk Szyszka, muzykalny jak Cygan, i rżnie może od godziny na skrzypcach *Znaszli ten kraj* Moniuszki. Gra leżąc, z głową wspartą o pustą flaszkę, i raz po raz trąca smyczkiem o blat stołu, co oryginalnie rwie na strzępy tę płynną melodię, bogacąc ją kaprysem niespodzianek. Obok mnie Ludwik Janikowski ze swą genialną trupią czaszką, zanosi się od płaczu siedząc na podłodze.

Zdaje się, że popłakujemy wszyscy, ale on szlocha, ryczy... A Szyszka gra i gra, aż wreszcie zmęczona ręka grajka wypuściła smyczek, zrobiło się cicho, Janikowski siorbał tylko nosem, i tylko ćwierkanie ptaszków, i chrapanie Stacha...

I ta melodia snuje mi się wciąż w głowie, gdy czytam te wspomnienia Stacha z krakowskich czasów. Szczególna książka! Mimo, że pisana tak niedawno, ledwie przed kilku laty, robi wrażenie wykopaliska, w którym zachował się dzień wczorajszy niby odcisk muszli w kamieniu. Bo Przybyszewski nigdy nie wyszedł z kręgu pojęć, o które donkiszocił się w swojej młodości; wszystkie przemiany, zdarzenia spłynęły po nim bez śladu; dziś jeszcze, z kart tej książki gotów by mówić o „nagiej duszy”, o „absolucie”, o sztuce wolnej od nakazów społecznych etc. Jeszcze w tych wspomnieniach przeżywa wszystkie swoje *confiteor* i swoje, przeważnie imaginacyjne, wojny z „mydlarzami”. Dzisiejszy czytelnik niełatwo zrozumiałby urzeczenie, jakie to wszystko mogło wywierać; jeszcze mniej by zrozumiał, gdyby wziął do ręki stary rocznik *Życia* – dziś rzadkość antykwarska – i odczytał w nim wszystkie owe szumne manifesty. Trzeba by to wszystko wymoczyć w spirytusie i podłożyć pod muzykę.

Istotnie, mówić o oddziaływaniu Przybyszewskiego, nie mówiąc o alkoholu, to byłoby tyle, co pisać dzieje Napoleona, a nie wspomnieć o wojsku. A już się pojawiali tacy zbyt cnotliwi hagiografowie, którzy pisali, że „czas skończyć z legendą o alkoholizmie Przybyszewskiego”. Mogę mówić o tym swobodnie, ile że sam Przybyszewski w *Moich współczesnych* pisze o swoim nałogu z zupełną prostotą i poświęca mu ciekawe karty. I mogę mówić tym bezinteresowniej, ile że, co do mnie, jestem człowiekiem, dla którego alkohol, poza jakimś rzadkim duchowym



Dagny Juell-Przybyszewska



Stanisław Przybyszewski

świętem, w życiu nie istnieje. Ale wtedy poznałem jego magię...

Alkohol i muzyka. Muzyka brzmiała w domu Przybyszewskich ciągle. Dagny grała Szumana, Griega, jakieś norweskie melodie ludowe lub, wspólnie z Szyszką, sonaty skrzypcowe Beethovena. Potem Stach, wciąż z niestrudzonym Szyszką, Bacha. Potem, gdy już „dojrzał”, odpedził Szyszkę i sam zaczął grać Szopena. Dziwne czytało się w różnych relacjach sądy o jego grze: jedni pisali o niej poematy, gdy inni traktowali ją jako fuszerkę. Różnica w kącie widzenia: tak jakby poetę, który cudownie mówi wiersze, sądzić z punktu techniki deklamacyjnej. Nam nie przeszkadzały jego niedomagania techniczne; wszystkie przypadkowe fałsze czy brutalności, nieoczekiwane fortissima i wściekle kaprysy rytmiki, wszystko to spływało razem w jakąś tragiczną pieśń, która duszę wywlekała z człowieka. Może to były wariacje alkoholu na temat Szopena – transkrypcja Spirytus Chopin, jak jest Busoni-Bach – ale transkrypcja nieporównana. A do tego sam Stach przy fortepianie! – kto go widział, ten go nie zapomni. Och, czemuż takim nie pokazano go na pierwszej karcie *Moich współczesnych*, zamiast załzawionego dziadygi, który patrzy na nas z fotografii! Wreszcie, zmęczony, zlany potem, Stach wstawał, osuwał się na fotel i szeptał: „No, Stasinek, teraz graj ty”. I Stasi-

nek (Sierosławski) siadał posłusznie do fortepianu, stawiano przy nim kielich wódki, niby szklanekę wody przy prelegencie, i rznął od ucha na przemian: *A jak będzie słońce i pogoda* albo *Stanął przed muzyką, sypnął talarami*, albo owo *Pod Krakowem ciemny las*, które potem przeniósł Wyspiański na muzykę Chochoła. A Stach słuchał, słuchał niesłychanie intensywnie, nie pozwalał przerwać ani na chwilę, tylko szeptał: „Graj, Stasinek, całą noc to samo”. Aż, wypocząwszy, spędzał Stasinka i rzucał się na instrument, i bebstwił się jeszcze w polonezie Szopena. Po czym już bez sił odpadał od fortepianu.

To były owe prawdziwe „manifesty”, przy których tamte, drukowane w *Życiu*, wydawały się mdłe i trochę śmieszne. To były dobre na eksport, dla prowincji, ale nie dla nas, bliskich, którzy mieliśmy to szczęście pić u źródła. Alkohol, stopiony w jeden eliksir z muzyką, był jak gdyby esencją „dionizyjskiego” – wedle terminologii Nietzschego – elementu sztuki Stacha. Nie był to ów Dionizos grecki, tłoczony łagodnie z winnego grona, ale ów oszukujący naturę, płacący życiem za gwałt na klimacie północy, pędzony, mocą chytrze wydartych samemu szatanowi tajemnic, na kartoflach, na życie, samobójczy, rozpaczliwy. (Nawiasem, pytanie pod adresem filologów: czy Grecy znali wódkę?)¹

Ach, jakimż śmiechem parskał Stach, gdy mu ktoś w takiej chwili wspomniął literaturę! Jakimż urągłym śmiechem! Jak gardził wszystkim, co było mową intelektu, wszystkim, co miało pretensję do myśli, w owych momentach, w których odbijał jedynie ultrafioletowe jej promienie! Dźwięk słów tylko, dźwięk powtarzany bez ustanku jak fraza muzyczna, słowo podniesione do godności motto do

picia. Bo Stach nigdy nie pił bez motto; każdy dzień, każda godzina – niemal każdy kieliszek miały swoje motto. Zależnie od tekstu, wódka zmieniała swój smak, tak jak w owej beczce, z której Mefisto w auerbachskiej piwnicy toczy rozmaite wino niemieckim studentom. Każdy przyzna, że inaczej pije się na: *les paons blancs*, *les paons nonchalants*², inaczej na: nie sah ich die Nacht beglantzter³, a inaczej znów na „oto jest święto zboża oto święto chleba”⁴, motto, które, nawiasem mówiąc, idealnie nadaje się do kieliszka zyt-niówki...

Motto dawało picciu charakter na przemian mistyczny, filozoficzny, marzący, szyderyczy, żartobliwy, irracjonalny, absurdalny, powtarzało się niby refren, skandowało flaszkę na kieliszki, niby wiersz na trocheje lub jamby. Bywały motto trwałe, bywały okolicznościowe. Ot, na przykład poeta jakiś z plemienia „dekadentów” nadał do redakcji wiersz, który się kończył: „spazmem rozwścieczonego satyra wierzgę”. Przybyszewski nie posiadał się z radości, tak mu się to spodobało (do picia, nie do druku); przez jakiś czas przepijał: „No, Stasinek (czy Fredzinek, czy inny inek, bo Stach z kujawska wszystkie imiona zdrabniał na „inek”), no Stasinek, wierzgnij spazmem rozwścieczonego satyra”. I śmiał się, śmiał jak dziecko. To znów inny poeta (którego nie wymienię przez delikatność, bo jeszcze żyje) popełnił wiersz, w którym znajdował się taki kwiatek: „Och, melancholii namiętny wzlot – upaja mnie do szafu”. Stach roz-

² „pawie białe, pawie niedbałe” (zmieniony początek wiersza Maeterlincka *Ennui* z cyklu *Serres chaudes*)

³ „Tak jeszcze nigdy noc się nie skrzyła” (St. Przybyszewski; nieco zmieniony początek poematu R. Dehmela *Die Verwandlungender Venus*).

⁴ początek wiersza Verlaine’a *C'est Nuit de la Fête du blé* w przekładzie Stanisława Korab-Brzozowskiego.

¹ Nauka odpowiada na to pytanie przecząco (przypis wydawcy).



Wojciech Weiss, *W kawiarni (Demon)*

koszował się tym „melancholii namiętym wzlotem”, wymawiał go z arcykomycznym przewracaniem oczu wychylając kieliszek, to było jego motto.

I takimi dwoma „szpruchami” mógł się bawić cały wieczór; i nie umiał tego wytłumaczyć, ale to była jedna z najbardziej interesujących konwersacji, jakie znałem. A kiedy przepił specjalnie dla mnie, patrząc mi w oczy swymi skośnymi diabelskimi oczami, doprawdy wszystko topniało we mnie z uwielbienia i czułości, miałem uczucie, że mi się otwiera mózg, dusza, serce; że w jego rękach, które byłbym radośnie całował w tej chwili, staje się człowiekiem. Wiem, że to co mówię, trąci mistyką, ale bardzo się mylą ci, którzy twierdzą, że jestem niezdolny do pojmowania mistyki. Przeciwnie, bardzo jestem zdolny, za bardzo...

Często motta, którego się czepiał rozbawiony Stach, dostarczał Szyszka. Ten Szyszka to był szczególnie chłopak. Suchotnik z kawernami w płucach wielkości pięści i wiedzący o tym, plujący krwią, gorączkujący stale i zapijający tę gorączkę na umór, był jednym z najweselszych ludzi, kipiał radością życia. Do tego stop-

nia, że lekarze polecali go jako medykamentu, pielęgniarkę bogatym chorym, tak dobrze oddziaływał na nich swoim optymizmem i beztrąską. Czasem jeździł do jakiegoś zamożnego dworu, wracał ze swoją gorączką i furą anegdot. Pamiętam jedno takie motto, które uczepliło się na długi czas. Szyszka wrócił ze dworu, gdzie pan był sparaliżowany, a pani ciężko chora. Szyszka miał dozorować hrabinę, a hrabia, po trosze ramol, miał przy sobie nieodstępnego lokaja Józefa, bez którego nie mógł sobie dać rady w najprostszych sytuacjach. Jednego dnia zrobił się rwetes, cała służba pognęła do pokoju jaśnie pani. Wpada Szyszka i oznajmia: „Panie hrabio, pani hrabina kona”. Na co hrabia z bezradną irytacją: „Topsze! Topsze, ale ja się zesrałem, a Józefa jak nie ma, tak nie ma”. Przybyszewski zwarował na punkcie tego „topsze! topsze!” Przez jakiś czas wszystkie kieliszki wychylano pod znakiem „topsze, topsze!”. W istocie, Szyszka, opowiadając, wkładał w to z cudzoziemską akcentowaną „topsze” (dobrze) nieodparty komizm, a sama ta makabryczna historia, odgrywana przez człowieka, który iskrzył się hu-

morem, a który sam nosił śmierć w sobie, miała ten właśnie smak, za którym szalał Przybyszewski.

Przybyszewski miał jakiś perwersyjny pociąg do wszystkiego, co pachniało śmiercią. Pamiętam taki epizod. Kiedy po rozbiciu się domu został w mieszkaniu sam, dowiedział się, że wuja jego służącej, nauczyciela ludowego, ciężkiego suchotnika, usuwają ze szpitala, ponieważ „bawił” w nim ponad przepisowy czas. Natychmiast ofiarował się, że go weźmie do siebie, zapewne po trosze z właściwej sobie dobroci, ale bardziej jeszcze upajając się tym, że będzie miał w domu umrzyka. Fantazjował w opowiadaniach na ten temat swoim charakterystycznym wnikliwym szeptem: „Taki ci wspaniały suchotniczek w ostatnim stadium, taki ci, robaczku, bakcyle latają u mnie po pokoju jak chrząszcze”, powtarzał zachwycony. Ale suchotnik jak suchotnik: na domowym wikcie, w przewiewnym pokoju, zrobiło mu się lepiej. Co dzień kazał sobie gotować kurę, w końcu wyczerpał cierpliwość zawiedzionego Stacha, który go się z trudem pozbył, wyprawiając podleczonego z powrotem na wieś.

Inny epizod. Jednym z najbliższych był Józef Grzybowski, „piękny – mówiąc językiem Stacha – człowiek” (już nie żyje), którego koleje dziwnie się plotły. Ukończył nie wiadomo czemu prawo, którego nie znosił, studiując pokątnie umiłowaną geologię. Skończywszy prawo, oddał się wreszcie geologii, której później miał zostać profesorem. Miał cudowny węch do wykrywania nafty, wciąż wzywano go na eksperta, co mu dawało duże zarobki. Był opatrnością finansową Stacha, którego uwielbiał. Ten Grzybowski, zakochawszy się w młodej panie, ożenił się, też nie bardzo wiadomo czemu, na złość panie, z jej ciotką, starszą od niego o jakie lat trzydzieści. Było to zresztą

sympatyczna osoba, piła z nami wszystkimi bruderszaft, mówiliśmy jej „wiedźmo”, co przyjmowała dobrodusznie, mimo że w istocie, w chwilach pijaństwa, wносиła lekki zapaszek Łysej Góry. Geolog również skłonny był pić obficie, przy czym kiwał w milczeniu głową nad swoim zwichniętym życiem. Bardziej jeszcze wmawiał w niego desperację Stach, który zawsze posądzał „Józinka” o to, że się powiesi: bał się tego i oczekiwał zarazem. Raz pamiętam scenę, która była niby humorystyczną trawestacją którejś ze scen *Homo sapiens*. W czasie jakiegoś pijaństwa u Stacha geolog znikł i dłuższy czas go nie było. Zaczęto się za nim rozglądać. Stach chodził niespokojny po pokoju, nie mówił nic, ale wytwarzał nerwowością swoją atmosferę grozy, która się udzieliła wszystkim. Wierzyliśmy niemal, że już się stało: tak silna była sugestia Przybyszewskiego, że widzieliśmy już w klozecie wiszącego trupa, a nikt nie miał odwagi drzwi otworzyć. Naraz otworzyły się same i mniemany denat wyszedł, zadowolony z siebie, podśpiewując, z klozetu. Na twarzy Stacha, mimo, że kochał tego najpoczciwszego Józinka, odbił się wyraźny zawód. Bo jego dusza łaknęła nade wszystko tragedii. Byłby chętnie zszopenizował tego geologa, tak jak się Niemcy skarżyli, że im „szopenizuje” język...

Z takich epizodów snuło się życie Stacha. Może dlatego wspomnienie o nim splotło się z owym *Znaszli ten kraj*, granym pod stołem przez kochanego Szyszkę. I nie mogę się uwolnić od tej melodii, wciąż mnie prześladuje. „Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa...”

Dojrzewa... cytryna... w plasterkach... □

Ze zbioru opracowanego
przez Henryka Markiewicza
„Boy o Krakowie”, Wydawnictwo Literackie, Wyd. II, Kraków 1973.

PIOTR AUGUSTYNEK

Ale to już było...

I nie wróci więcej. Pierwsze zdanie uzupełniające tytuł to oczywiście cytat ze znakomitej piosenki z tekstem i muzyką Andrzeja Sikorowskiego.

Niestety, to już było – powróciło, choć z logicznego punktu widzenia – nie miało prawa. A jednak. Powróciło w karykaturalnej formie i nikomu, kto myśli, nie powinno być do śmiechu.

Co to znaczy „w karykaturalnej formie”? A jak inaczej nazwać to, co zamierza zafundować nam p. Czarnek, powołując komisję, mającą zająć się dostosowaniem programów nauczania do widzimisię i zacierzenia ideologicznego obecnej władzy? Komisja postawiła sobie niezwykle ambitne plany.

Czego w nich nie ma? Zdrowego rozsądku, a rozumu przede wszystkim.

Z medialnych zapowiedzi ministerialnych majsterkowiczów wynika, że trzeba będzie skontrolować podstawy programowe języka polskiego, historii i wiedzy o społeczeństwie. Nie jest tajemnicą, że to właśnie te przedmioty mają wykształcić w uczniach myślenie humanistyczne, wrażliwość społeczną, obiektywizm w podejściu do naszych dziejów. Mają także (i to niepokoi naszych władców) pokazać, że można, a nawet należy mieć wątpliwości, że należy stawiać pytania – szczególnie te niewygodne dla polityków.

I oto z otoczenia p. Czarnka wyłonił się bezobjawowo myślący ludzie, którzy w roku 2021 chcą nasze społeczeństwo (przepraszam, NARÓD) wepchnąć w obszary fanatyzmu religijnego, wszystkiego, co więzi wolną myśl i uniemożliwia uczniowi zadawanie pytań. Pojawiają się pomysły, aby nauczać tylko tych treści, które mieszczą się w ramach doktryny Kościoła katolickiego. Przypominam: średniowiecze skończyło się prawie sześćset lat temu.

Jako pierwsze posunięcie ministerialnych myślicieli będziemy mieli rewizję ka-

nonu lektur. Jeszcze żadnych decyzji nie ma, ale już można się zacząć bać.

Istotne miejsce w tym programie odnowy edukacji będzie zapewne miała nowa interpretacja historii. Rzecz się rysuje do prawdy pięknie, gdy przypomnimy sobie perturbacje z mianowaniem neofaszysty na stanowisko dyrektora wrocławskiego IPN. Ale się będzie działo! No, chyba, że ktoś z władz pójdzie po rozum do głowy, chociaż, boję się, że może zabłądzić.

Nie należy zapominać, że jesteśmy w przededniu zmian w systemie egzaminów dojrzałości, a nade wszystko w sprawach związanych z maturą z religii. Tu oczywiście decydujący głos będą mieli eksperci w sutannach.

Niepokoi też i to, że p. Czarnek z całą energią zabiera się za ukrócenie autonomii wyższych uczelni, począwszy od kombinowania przy systemie punktacji osiągnięć naukowych, a co za tym idzie przy zapewnieniu sobie pozamerytorycznych uprawnień do przyznawania dotacji i ingerencji w politykę kadrową. Trochę ponuro to wszystko wygląda.

Tytuł niniejszych rozważań oznacza, że niejednokrotnie władza (nie tylko w naszym kraju) próbowała przejmować brutalnie i bezprawnie zarządzanie kształtowaniem postaw młodych ludzi, próbowała na swoją modłę budować wrażliwość społeczną. Nigdy jednak nie kończyło się to dobrze. Przede wszystkim dla władzy.

Obecni władcy dusz (przynajmniej tak siebie postrzegają) zamierzają skonstruować komisję, która będzie swoistą hybrydą inkwizycji, komisji kontroli partyjnej, teatru absurdu i makabrycznego koncertu życzeń. Zysk będzie zerowy, szkody trudne do naprawienia.

Jednym słowem. Panowie: to już było. A skończyło się z wiadomym skutkiem. □

Seneka: Listy do Lucyliusza

Tym razem przeniesiemy się w czasy zbrodniczego i szalonego dyktatora – cesarza Nerona. Sięgniemy nie do naukowych, teoretycznych rozważań i ocen, snutych przez potomnych. Zagłębimy się w sferę osobistą, rzec można – niemal intymną. Tą sferą są listy. Listy pisane do przyjaciela, młodszego o wiele lat. Adresem jest Lucyliusz. A autor? Autorem jest Lucjusz Anneusz SENEKA (4 r. p.n.e. – 65 r. n.e.), Hiszpan obdarzony darem mistrzowskiej sztuki pisania prosto i niemal surowo o rzeczach ważnych, a więc pozornie skomplikowanych. Jego słynne *Listy moralne do Lucyliusza* są świadectwem tego niezwykłego zjawiska. Kto chce zapoznać się dokładnie z *curriculum vitae* autora – bez przeszkód może sięgnąć do wiedzy encyklopedycznej, do słowników.

Warto jednak pamiętać o przewrotnym i okrutnym losie tego mędrca. Jego kariera biegła od szczytów bogactwa i uznania po przepaść krzywdy i upokorzeń. Dość powiedzieć, że będąc mentorem i doradcą Nerona, został oskarżony o udział w antycyarskim spisku i zmuszony do samobójstwa. Cóż, tak to jest, gdy się doradza dyktatorom...

W swoim pierwszym liście do Lucyliusza Seneka rozważa istotę czasu, jaki jest nam dany. Stawia pytanie: co chcesz uczynić z owym darem, młody człowieku? Słowem – jakim człowiekiem zamierzasz być?

A zatem:

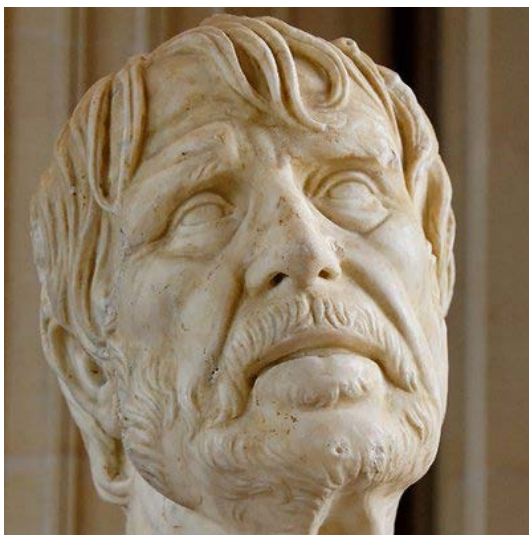
Seneka pozdrowia swojego przyjaciela Lucyliusza.

Tak właśnie postępuj, mój Lucyliuszu: wyzwalaj siebie dla siebie, a czas, który – jak dotąd – był ci albo rabowany, albo kradziony, albo sam uchodził niepostrze-

żenie, gromadź i szcędź. Wierżaj, że tak się to przedstawia, jak tu piśsz: pewne chwile są nam odbierane jawnie, inne odejmowane po kryjomu, a jeszcze inne wymykają się nam same.

Najgorsza jest wszelako strata wynikająca z naszego niedbalstwa. I jeżeli zechcesz się głębiej zastanowić, pojmiesz,

iż największa część życia schodzi nam na postępkach złych, duża część na bezczynności, a całe życie na czynieniu czegoś innego (niżby należało). Kogóż mi wskażesz, kto by przyznawał czasowi jaką bądź wartość, kto by doceniał dzień, kto by rozumiał, że przecież codziennie umiera? Jesteśmy bowiem w błędzie, oczekując śmierci w przyszłości: w znacznej



Lucjusz Anneusz Seneka

mierze nastąpiła ona w przeszłości. Co-
kolwiek życia mamy poza sobą, należy to
do śmierci.

Postępuj tedy, mój Lucyliuszu, tak jak
piszesz, że postępujesz: zbieraj wszystkie
godziny. W ten sposób osiągniesz, iż jeśli
położysz rękę na dniu dzisiejszym, mniej
będziesz zależał od jutrzejszego. Podczas
gdy my odkładamy życie na później, ono
uchodzi. Wszystko, Lucyliuszu, jest nie
nasze, tylko czas stanowi naszą własność.
Tę jedną tylko pierzchliwą i ulotną rzecz
dała nam natura w posiadanie, z którego
może wyzuć nas każdy, kto chce.

A tak wielki jest nierozsądek śmiertel-
ników, iż otrzymawszy nieraz coś całkiem
drobnego i błałego, a w każdym razie da-
jącego się odplacić, uważają, że coś się
od nich należy; nikt zaś, kto zabrał nam
czas, nie poczuwa się do żadnego długu;
gdy tymczasem jest to jedyna rzecz, któ-
rą nie może odwzajemnić się nawet ktoś
wdzięczny.

Zapytasz może, co czynię ja, który
udzielam ci tych nauk. Wyznam ci szcze-
rze: jak to się dzieje u ludzi żyjących zbyt-

kownie, lecz gospodarnych, znam dobrze
rachunek swoich wydatków. Nie mogę
powiedzieć, bym nic zgoła nie tracił, lecz
jestem w stanie wyszczególnić, co tracę,
dlaczego i w jaki sposób; potrafię wska-
zać przyczynę mojego niedostatku.

Aliści i mnie spotyka to, co się przy-
trafia bardzo wielu innym, którzy popa-
dli w niedostatek bez swej własnej winy:
wszyscy usprawiedliwiają, lecz nikt nie
przychodzi z pomocą. Cóż więc stąd wy-
nika? Nie uważam za nędzarza człowieka,
któremu starczy to, co pozostało, choćby
było czymś całkiem niewielkim. Ty jed-
nak strzeż swe mienie przed nieszczę-
ściem, a zacznij to zawczasu. Bo – jak
sposzregli już nasi przodkowie – za póź-
no jest oszczędzać, gdy widać dno. Prze-
cież na dnie zostaje resztką nie tylko bar-
dzo nieznaczna, lecz także i najgorsza.

Bądź zdrow! □

Lucjusz Anneusz Seneka, *Listy moral-
ne do Lucyliusza* – tekst pochodzi z wydania
pierwszego, 1961 r., PWN.

**„Religia uważana jest
przez prostaków za prawdziwą,
przez mędrców za fałszywą,
przez władców - za użyteczną.”**

L.A. Seneka

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

Początki wolnomularstwa w odrodzonej Polsce

Wśród kilku okrągłych rocznic przypadających w ubiegłym 2020 roku, była jedna, o której mało kto pamiętał, a która dotyczyła polskiej masonerii. Minęło bowiem równo 100 lat od chwili, kiedy odrodziła się samodzielna polska obediencja (inaczej jurysdykcja, krajowy wolnomularski ośrodek kierowniczy) – Wielka Loża Narodowa „Polacy Zjednoczeni”. Warto przypomnieć, jak do tego doszło i kim były osoby, które tego dokonały.

Pierwsze organizacje wolnomularskie pojawiły się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej już w latach 20-tych XVIII w., a za pierwszą polską lożę uznaje się działającą w Warszawie w 1729 r. lożę „Trzech Braci”. Największy rozkwit polskie wolnomularstwo przeżywało w czasach panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego; w Księstwie Warszawskim oraz w pierwszych latach funkcjonowania Królestwa Polskiego do roku 1821, kiedy to car Aleksander I decyzją z dn. 21 września zawiesił na czas nieograniczony działanie loż na terenie Królestwa.

Od lat dwudziestych XIX w. na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej jedynymi czynnymi placówkami masonickimi były loże działające w zaborze pruskim. Wchodziły w skład trzech berlińskich central wielkich loż, tzw. staropruskich. Udział w nich Polaków szybko się jednak zmniejszał, a praktycznie już w latach 60 XIX w. praktycznie zanikł.

Pod koniec XIX w. na terenie ówczesnej Galicji pojawiły się pewne sympto-

my odrodzenia ruchu masonickiego. Wynikało to z tego, iż w „zaliczawskiej” części państwa Habsburgów (obejmującej Węgry, Słowację, Siedmiogród, Ukrainę Zakarpacką, Wojwodinę i Chor-

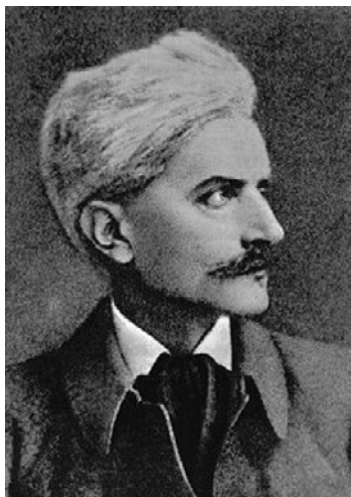
wację) w roku 1868 odzyskał on status legalności. Wprawdzie zakaz działalności wolnomularskiej obowiązywał nadal w „Przedlitawii” (w skład którego wchodziła Galicja), lecz władze przymykały oczy na wybieg wolnomularzy.

Od 1869 r. w swoim mieście zrzeszali się oni w tzw. „niepolitycznych stowarzyszeniach”. Wcześniej ci sami ludzie powoływali loże wolnomularskie legalnie do życia w pobliskich miejscowościach, po węgierskiej stronie wewnątrzpaństwowej granicy. W ten sposób powstała w 1891 r. we Lwowie loża „Szczera Przyjaźń”. Jej najbardziej znanym członkiem był Salomon Goldbaum (1836-1910), kupiec. Był autorem najstarszego obcojęzycznego książkowego opracowania o polskiej masonerii *Rudimente einer Geschichte der Freimaurerei in Polen*, wydanego w Budapeszcie w 1898 r.

Kolejną próbę wznowienia wolnomularstwa polskiego podjęto już w wieku XX w Warszawie. Tu, w atmosferze kłęski rewolucji 1905 roku, wśród inteligen-



Andrzej Niemojewski



Andrzej Strug



Rafał Radziwiłłowicz

cji poddawano rewizji dotychczasowe poglądy, poszukiwano nowych idei i dróg rozwiązania palących problemów społecznych i politycznych. Propaganda wolnomularska zaczęła docierać za pośrednictwem ruchu wolnomysłicielskiego.

Z jedną z paryskich łóż Wielkiego Wschodu Francji zetknął się (a może i został przyjęty) Andrzej Niemojewski (1864-1921), publicysta, działacz Postępowej Demokracji. W 1906 r. wydał broszurę własnego autorstwa *O masonerii i masonach. Szkic popularny*. Był to pierwszy w XX w. na ziemiach polskich propagandowy druk wolnomularski. Publikacja Niemojewskiego ukazała się nakładem czasopisma wolnomysłicielskiego *Myśl Niepodległa*.

W 1907 r. w Paryżu przyjęto do wolnomularstwa, do loży Les Rénovateurs – po raz pierwszy od blisko wieku – Polaka zamieszkałego w kraju, Jerzego Kurnatowskiego (1874-1934), publicystę, prawnika i ekonomistę. Po powrocie z Francji, Kurnatowski przekonywał swoich znajomych do wolnomularstwa. Atmosfera ku temu była sprzyjająca, choćby przez „Popioły” Stefana Żeromskiego, które wydanie książkowe ukazało się w 1904 r., czy

też pojawienie się w 1908 r. monografii Szymona Askenazego *Łukasiński*, która dotyczyła polskiej masonerii, a zwłaszcza Wolnomularstwa Narodowego.

Pod wpływem tych impulsów myśl o powołaniu do życia loży zakiełkowała w środowisku warszawskich inteligentów. Na jej potencjalnego patrona upatrzili sobie Wielki Wschód Francji, który co najmniej od końca XIX w. głosił, iż wolnomularstwo jest identyczne z republikanizmem, mówił głośno o swojej solidarności z prześladowanymi w innych krajach bojownikami przeciwko absolutyzmowi i reakcji, zabiegał o zakładanie łóż w państwach, w których ich nie było bądź na ich istnienie nie zezwalamo.

Kierując się takimi racjami, znany warszawski społecznik i psychiatra Rafał Radziwiłłowicz (1860-1929), prywatnie szwagier Stefana Żeromskiego, zajął się powołaniem do życia polskiej placówki wolnomularskiej. W sprawę tę zaangażował się również, przebywający od 1907 r. w Paryżu, Tadeusz Gałęcki, znany szerzej jako Andrzej Strug (1871-1937), pisarz, działacz socjalistyczny. Niebawem do tej samej paryskiej loży, do której od blisko dwóch lat należał Kurnatowski, zostali

przyjęci m.in.: wspomniany Radziwiłłowicz oraz Antoni Natanson (1862-1933), ginekolog, działacz społeczny; Władysław Kozłowski (1858-1935), filozof i historyk; Stanisław Patek (1866-1944), adwokat, działacz polityczny, dyplomata; Alojzy Wierzchlejski (1860- po 1931), urzędnik kolei warszawsko-wiedeńskiej działacz społeczny; Stanisław Leszczyński (1856-1914), adwokat, działacz społeczny; Maksymilian Miłgaj Malinowski (1860-1948), publicysta, działacz ruchu ludowego; Stanisław Pyrowicz (1846 – 1916), prawnik, dziennikarz, publicysta; Zygmunt Chmielewski (1873-1939), chemik, działacz spółdzielczy, przyrodni brat Radziwiłłowicza. Osoby wywodzące się z tej grupy w 1910 roku powołały do życia pierwszą od prawie stu lat warszawską placówkę wolnomularską Wyzwolenie.

Loże również zaczęły powstawać i w innych ośrodkach. I tak w Kaliszu Józef Dąbrowski pseudonim Grabiec (1876-1926), prawnik, publicysta, prywatnie szwagier Marii Dąbrowskiej, założył w 1910 r. lożę Świt, a w Lublinie w roku 1912 Witold Gielżyński (1886-1966), dziennikarz, publicysta, oraz Jan Hempel (1877-po 1937), działacz i ideolog ruchu spółdzielczego, utworzyli lożę Wolni Oracze.

Pomiędzy 1911 a 1914 powstały w Wilnie loże Białoruś, Jedność oraz Litwa. Wśród ich członków warto wymienić takie osoby jak Kazimierz Ostachiewicz (1883-1952), bankowiec, duchowny ewangelicki; Witold Abramowicz (1874-1940), adwokat, działacz polityczny; Jan Piłsudski (1876-1950), prawnik, działacz polityczny, młodszy brat Józefa; czy Michał Römer (Romer) (1880-1945), prawnik, publicysta, działacz polityczny. Należy pamiętać iż wszystkie te loże działały w konspiracji, obowiązywał przeciw nadal dekret cara Aleksandra I z 1821 r.

Jeszcze przed wybuchem I wojny, z loży Wyzwolenie, wyodrębniła się druga warszawska loża, Odrodzenie. W roku 1917, w związku z sytuacją wojenną i zmniejszeniem się liczby adeptów, obie loże połączyły się w lożę Zmartwychwstanie, którą choć formalnie kierował Stanisław Patek, to rzeczywiście Antoni Natanson. Należał do niej m.in. Stanisław Posner (1868-1930), prawnik, publicysta, działacz socjalistyczny.

Starsi wiekiem wolnomularze mieli najczęściej za sobą przeszłość pozytywistyczną, młodszy natomiast w mniejszym lub większym stopniu otarli się o ruch socjalistyczny i ludowy. Wszyscy natomiast należeli do czołówki ówczesnej polskiej postępowej inteligencji. Osoby te przeważnie od lat już się znały, działając w różnych konfiguracjach w rozmaitych stowarzyszeniach, legalnych, półlegalnych czy nielegalnych. Do ruchu masonskiego przyprowadziło ich przeświadczenie, że będą tu mogli łączyć wierność hasłu „wolność, równość, braterstwo” ze wspólnym działaniem na rzecz przywrócenia Polsce suwerennego i demokratycznego bytu, jakkolwiek różnie widzieli drogi ku temu prowadzące. W lożach znaleźli ład moralny, akcentowanie roli jednostki w życiu społecznym, a nade wszystko perspektywę dogłębnej zmiany ówczesnej sytuacji bez rewolucji społecznej. Czuli się odnowicielami życia narodowego.

Wielu wolnomularzy poświęciło się także rozbudowie spółdzielczości, którą postrzegano jako ruch samopomocy, niwelujący antagonizmy społeczne. Na tym polu ogromną rolę odegrał Edward Abramowski (1868-1918), filozof i socjolog, a nade wszystko teoretyk i twórca polskiego ruchu spółdzielczego.

W okresie I wojny polscy wolnomularze, choć nieliczni, odgrywali znaczącą rolę w polskim życiu publicznym, działa-

jąc na różnych polach. Uczestniczyli albo bezpośrednio w walkach jak np. Andrzej Strug, żołnierz Legionów, albo – jak Stanisław Patek – byli aktywni na niwie politycznej i społecznej. Po zajęciu w 1915 r. Warszawy przez Niemców wolnomularze już nie obawiali się, iż ich działalność może spotkać się z daleko idącymi konsekwencjami; wszak w Niemczech masoneria była legalna. Stąd ich aktywność zarówno w różnego rodzaju jawnych organizacjach i stowarzyszeniach, jak i agendach Tymczasowej Rady Stanu czy Rady Regencyjnej.

W 1917 r. powstała w Rzymie polsko-włoska loża Polonia. Wchodziła ona w skład Wielkiej Loży Narodowej Włoch, która była ideowo i politycznie bardziej umiarkowana niż Wielki Wschód Włoch, zbliżony ideowo do wspomnianego wyżej Wielkiego Wschodu Francji. Należeli do niej m.in. Edward Okuń (1872-1945), malarz, rysownik, ilustrator książek, oraz Maciej Loret (1860-1949), historyk, dyplomata.

W Warszawie, obok związanej z Wielkim Wschodem Francji loży Zmartwychwstanie, powstała w II połowie roku 1918 lub w początkach 1919 loża zwana Lożą Więckowskiego. Wywodziła się raczej, niż podlegała, z Wielkiego Wschodu Ludów Rosji, który istniał już wówczas tylko teoretycznie. Jej założycielem był Aleksander Więckowski (1854-1919), inżynier, polski i rosyjski działacz polityczny, związany m.in. z Polskim Komitetem Demokratycznym, działającym w latach 1917-1918 w Petersburgu. Jej członkowie wywodzili się głównie z Polaków przybyłych z Rosji, byli to np. Stefan Grostern (1887-1940), dziennikarz i publicysta; Aleksander Babiński (1853-1931), generał, prawnik, działacz społeczny; Józef Ziabicki (1871-1958), inżynier, działacz gospodarczy i pacyfistyczny. czy pracow-

nicy rodzącej się polskiej służby dyplomatycznej: Mirosław Arciszewski (1892-1963) i Roman Knoll (1888-1946).

W 1918 r. coraz więcej Polaków zaczęło wracać do odradzającej się ojczyzny. Byli oczywiście wśród nich wolnomularze wcześniej związani z różnymi nurtami wolnomularskimi. Uzyskiwali w nich niekiedy wysokie stopnie wtajemniczenia w obrządku szkockim, którego nie uprawiały loże działające w kraju. W związku z dość licznym napływem do Warszawy adeptów z tych warsztatów zagranicznych oraz części członków polskich łóż działających na terenie Królestwa, nastąpiła ponownie konieczność wydzielenia z istniejącej „francuskiej” placówki Zmartwychwstanie drugiej loży, zwanej Lożą Radziwiłłowicza lub Odrodzeniem, na której czele stanął St. Patek.

Zarówno placówki Patka jak i Więckowskiego, z punktu widzenia prawa wolnomularskiego nie były formalnie lożami masonskimi. By mogły być w pełni uznane za regularne i pełnoprawne, niezbędne było otrzymanie patentu (dokumentu założycielskiego) od jakiejś obediencji, najlepiej powszechnie uznanej i szanowanej. Nie była to w tuż powojennej atmosferze prosta decyzja. Oznaczała bowiem przyłączenie się do jednego z nurtów lożowych, np. bardziej liberalnego, związanego z Wielkim Wschodem Francji i innymi Wielkimi Wschodami, czy bardziej tradycyjnego, powiązanego z Wielką Lożą Anglii i Wielkimi Lożami Narodowymi w innych krajach.

Na to wszystko nakładała się atmosfera związana z kształtowaniem granic w Europie, w tym oczywiście Polski, oraz wynikające z tego stanowiska poszczególnych państw europejskich wobec tej kwestii; jak również, jeszcze żywe w tym okresie, polskie spory orientacyjne z czasów wojny (aktywiści, pasywiści).

Wielkie Wschody Francji, Belgii czy Włoch mogły postawić jako warunek „regularyzacji” warsztatów potępienie, albo całkowite odcięcie się od orientacji na państwa centralne. Ciesząca się powszechnym szacunkiem obediencja szwajcarska, ze względu na dobre stosunki z lożami niemieckimi, nie chciała ingerować w mało przejrzyste polskie stosunki lożowe. Nie można też było liczyć na poparcie ze strony Wielkiej Łoży Anglii, delikatnie mówiąc, niechętniej wszelkim ruchom radykalnym i bardzo rygorystycznym w sprawach obrzędowości i zasad.

Odzyskanie niepodległości państwowej postawiło przed polskimi wolnomularzami zadanie powołania własnej obediencji, co z kolei najpierw wymagało utworzenia co najmniej kilku łóż i uregulowania ich wolnomularskiego statusu prawnego. Z pomocą przyszła Wielka Łoża Narodowa Włoch, która w tym czasie prowadziła działalność organizacyjną w sąsiedniej Czechosłowacji. Bardzo tu pomogły kontakty przez rzymską lożę Polonia. Niebawem rozmowy przeniosły się do Warszawy, gdzie stronę włoską reprezentowali: poseł Francesco Tommasini, radca handlowy poselstwa Antonio Menotti-Corvi oraz mjr Giuseppe Stabile z Komisji Międzysojuszniczej dla Polski.

Od wiosny 1920 r. wydarzenia nabierały tempa. Warszawscy członkowie Polonii, wspólnie z placówką Radziwiłłowicza i Patka, utworzyli **19 marca** lożę Kopernik, obrządku szkockiego (stara stołeczna była obrządku francuskiego). Zwróciła się ona do rzymskiej centrali o wydanie patentu i przyjęcie w jej skład. Takowe otrzymała **24 kwietnia**, wówczas nastąpiła jej uroczysta inauguracja. Łoża Kopernik stała się tym samym lożą regularną.

Aby przyspieszyć powołanie obediencji, do Kopernika przyjmowano po siedmiu członków poprzednio należących do każdej z warszawskich placówek nieregularnych,

udzielano w skróconym trybie (w ciągu jednego dnia) wszystkich trzech pierwszych stopni (uczni, czeladnika, mistrza).

Siódemka taka była już uprawniona do ukonstytuowania się w lożę i do samodzielnego inicjowania innych. W ten sposób loża Kopernik stała się lożą matką dla powołanych między kwietniem a wrześniem roku 1920 następnych sześciu łóż stołecznych: Łukasiński, Machnicki, Kościuszko, Wolność Przywrócona, Sowiński i Mickiewicz. Jednocześnie, w wyniku przeprowadzonych rokowań po śmierci Więckowskiego, we wrześniu 1919 nastąpiła również „regularyzacja” tej loży, która przyjęła nazwę Prawda.

Szybko przetłumaczono z języka włoskiego *Statut Ogólny Związku Wolnomularzy Rytułu Szkockiego Dawnego i Uznanego*, który do 1928 r. pełnił funkcje rodzimej konstytucji wolnomularskiej. Strona włoska udzieliła również niektórym z polskich wolnomularzy wyższych stopni szkockich, do 33 włącznie. Do sierpnia 1920 r. uzyskało go co najmniej 9 osób. Wówczas decyzją Wielkiego Komandora (przewodniczącego) Rady Najwyższej Włoch utworzono w Warszawie Radę Najwyższą Polski, czyli centralę dla placówek wolnomularskich stopni wyższych, od stopnia trzeciego. Jej Wielkim Komandorem został najstarszy stażem polski wolnomularz Andrzej Strug.

Wymienione wyżej osiem regularnych warszawskich łóż **11 września 1920 r.** powołało do życia Wielką Lożę Narodową Polacy Zjednoczeni, z Rafałem Radziwiłłowiczem jako Wielkim Mistrzem. Rzym w połowie listopada wysłał do nowej centrali pismo gratulacyjne, a na początku stycznia 1921 uznał ją oficjalnie.

W ten sposób po 100 latach odrodziła się samodzielna polska obediencja wolnomularska, która mogła teraz samodzielnie powoływać dalsze loże oraz nawiązywać

partnerskie kontakty w międzynarodowym środowisku wolnomularskim.

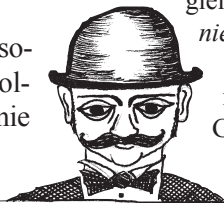
Współcześnie działająca w Warszawie Loża Kopernik (od r 1961; w konspiracji do 1989), zwana tradycyjnie Lożą Matką, jak i obecna Wielka Loża Narodowa Polski (od 1991) to bezpośredni kontynuatorzy zarówno tamtego Kopernika jak i tamtej Wielkiej Loży; i gdyby nie zawirowania historyczne, to dzisiaj obie obchodziłyby stulecie nieprzerwanej działalności.

Jakie były losy masonerii w II Rzeczpospolitej i jaką rolę jej członkowie odegrali w życiu społecznym i politycznym odrodzonej ojczyzny, oraz dlaczego wolnomularstwo działało w formule półlegalności i przy milczącej aprobacie Józefa Piłsudskiego, to już temat na zupełnie nowy tekst.

Na koniec warto uświadomić sobie, że – wbrew stereotypom – wolnomularstwo nigdy nie było i nie

jest tajnym stowarzyszeniem dążącym do władzy, było i jest tylko grupą przyjaciół, którzy każdego dnia chcą stawać się lepszymi ludźmi i chcą, by świat też stawał się lepszy. □

*W tekście wykorzystano informacje zawarte w książkach Ludwika Hassa *Ambicje, rachuby, rzeczywistość. Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej 1905-1928*, Warszawa 1984; *Masoneria Polska XX wieku*, Warszawa 1996; *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999, oraz Leona Chajna *Polskie wolnomularstwo 1920-1938*, Warszawa 1984, Wojciecha Giełżyńskiego *Wschód Wielkiego Wschodu*, Warszawa 2008; Krzysztofa Walczaka *Loże Masońskie i organizacje parawolnomularskie Kalisza*, Kalisz 2004, oraz w artykule autorstwa Tadeusza Cegielskiego *Feniks z popiołów. Odrodzenie wolnomularstwa polskiego 1909-1921*, zawartym w III tomie wydawnictwa *Polskie Tradycje Ezoteryczne*, Gdańsk 2019, s. 1*



SANEG DOŁY?

PROPOZYCJE

Na pewnym przyjęciu Rothschild (znany milioner) zwrócił się do Tristana Bernarda:

- Mówiono mi, że pan jest bardzo zabawny. Czy zechciałby mnie pan zabawić?

- Ja zaś słyszałem, że pan jest bardzo bogaty. Czy zechciałby pan podarować mi pięćset milionów franków?

BŁAZEŃSTWA

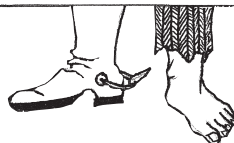
Król Karol IX rzekł raz do swojego błazna:

- Masz jakieś wpływy u dworu, że ktoś mógłby pomyśleć, iż to ty jesteś królem, a ja błaznem. Może się zamienimy?

Błazen nic nie odpowiedział.

- No cóż – nalegał król – wstydzilibyś się być władcą?

- Nie, panie, ale wstydzilibym się mieć takiego błazna.



Jansenizm

1. Początki

Jansenizm wyrósł na tle wcześniejszych sporów o łaskę, prowadzonych przez Augustyna z Pelagiuszem i odżywiających w semipelagianizmie (czytaj jeśli możesz: Piotr Szydłowski, *Grzech i łaska centralnym problemem etyki Aureliusza Augustyna (354-430)*, w: Forum Myśli Wolnej, nr 70, s. 15-21), a kontynuowanych przez Lutra i Kalwina w XVI wieku.

Siedemnastowieczne problemy teologiczne związane z rolą łaski boskiej i wolnej woli człowieka Jean Delumeau (w: *Reforma chrześcijaństwa w XVI i XVII wieku*, t. 2, Warszawa 1986) nazywa „dramatem Kościoła rzymskiego w czasach od Lutra do Woltera”. Zdaniem tegoż autora, nie można było uniknąć jansenizmu, jego zarodek bowiem tkwił w dekretach i przemilczeniach Soboru Trydenckiego, który, chociaż potwierdził istnienie wolnej woli i konieczności łaski, to jednak nie określił wzajemnych związków między nimi.

Do tych wcześniejszych sporów o łaskę, jeszcze przed pojawieniem się jansenizmu, nawiązał Michał Baius (de Bay), którego poglądy potępione przez Kościół noszą nazwę „bajanizmu”. Urodzony w Melin M. Baius (1513-1589) był wybitnym teologiem niderlandzkim Kościoła katolickiego, tak wybitnym, że w roku 1552 został profesorem egzegezy na uniwersytecie w Louvain, a w roku 1563 uczestniczył w sesji Soboru Trydenckiego jako ekspert. Zasłynął z tego, że nawiązał do niejasnej nauki Augustyna o łasce i wolnej woli. Przeczytał dziewięć razy wszystkie dzieła św. Augustyna i 70 razy jego pisma przeciw Pelagianom. Naraził się jednak wielu teologom katolickim, zwłaszcza jezuitom. Jego 76 tez potępił Pius V (1566-1572) w roku 1567, a Grzegorz XIII (1572-1585) ponowił to potępienie w roku 1579.

Za poglądami Baiusa opowiedział się jednak uniwersytet w Louvain, którego Baius został kanclerzem w roku 1578. W dodatku, jakby na ironię, Filip II, potępionemu przez Kościół heretykowi powierzył funkcję generalnego inkwizytora niderlandzkiego. Zaistniała sytuacja paradoksalna – heretyk miał obowiązek ścigania innych heretyków. Może dlatego sam nie został spalony na stosie? Pisma Baiusa w 27 tomach pod wspólnym tytułem *Opera* (Dzieła) wydał Geberon w Kolonii w 1696 r.

Gdy umierał Baius, miał już cztery lata życia kontynuator jego poglądów Korneliusz Janseniusz (1585-1638), urodzony w rzemieślniczej rodzinie we wsi Acquoy w hrabstwie Leerdam w Holandii, późniejszy biskup Ypres w Niderlandach. Nauki początkowo pobierał w kolegium jezuickim w Utrechcie, do zakonu jezuitów nie został jednak przyjęty, więc udał się na studia do Louvain i Paryża. Właśnie profesorowie lowańscy, spadkobiercy poglądów Baiusa o łasce i wolnej woli, natknęli nimi młodego Janseniusza.

W Paryżu zaprzyjaźnił się Janseniusz z Janem du Vergier de Hauranne, późniejszym opatem Saint-Cyran w Tours i za jego wstawiennictwem otrzymał rektorat kolegium w Bayonne. Obaj postanowili rozwinąć naukę Baiusa i zabrali się do intensywnego studiowania traktatów Augustyna o łasce. Zamiar usprawiedliwiania poglądów Baiusa łączył się u tych teologów z zamiarem ośmieszania schola-



Jansenius

stycznej dogmatyki, panującej wówczas w szkołach jezuickich. Obaj teologowie podzielili się pracą w następujący sposób. Du Vergier miał napisać historię pierwotnej struktury Kościoła, a Janseniusz dzieło o dogmatyce. Obie prace miały się uzupełniać jak dusza i ciało. A ponieważ przewidywali, że prace ich spotka los dzieł Baiusa, a ich samych los wiele gorszy od ich mistrza, postanowili, że ukążą się one drukiem dopiero po ich śmierci. Tymczasem studiowali i kształcili silnych szermierzy, zdolnych w przyszłości walczyć dla „świętej sprawy łaski”. Du Vergier werbował zwolenników we Flandrii, Janseniusz – jako delegat uniwersytetu lowańskiego udający się do Madrytu – miał tam wybadać stan umysłów. Tam to właśnie o mało nie wpadł w ręce inkwizycji hiszpańskiej. Udało mu się jednak pozyskać względy króla hiszpańskiego, a opublikowana satyra na królów francuskich pt. *Mars gallicus* (1635), przyczyniła się do wyniesienia go na biskupstwo Ypres w Niderlandach (1636), uzależnionych od dworu hiszpańskiego. Dwa lata póź-

niej (1638) zmarł podczas dżumy, a dwa lata po jego śmierci (1640) wydawnictwo Frommont opublikowało, przygotowywane przez 20 lat, dzieło *Augustinus* (1300 stron druku), które wywołało we Francji i Holandii wielkie wrażenie połączone z niemięj wielkim wzburzeniem.

2. Doktryna Janseniusza

Poglądy zawarte w *Augustinusie* można w skrócie ująć następująco. Bóg stworzył aniołów i człowieka w stanie doskonałym. Świętość pierwotna należała do natury człowieka, który nie musiał wybierać między dobrem a złem. Do jego istoty należała w sposób przyrodzony łaska. Przez grzech natura ludzka została zniweczona. Człowiek w konsekwencji grzechu utracił zdolność poznawania rzeczy Bożych i wpadł całkowicie pod panowanie szatana. Pierwotna wolność człowieka, pełne panowanie nad sobą i naturalne ciążenie ku Bogu zostały zlikwidowane. Wolność pozostała czystą formalnością, pozbawioną siły jej realizacji. Jeśli człowiek jeszcze opiera się grzechowi, robi to jedynie z bojaźni, pychy i względów czysto ziemskich.

Tak upadłego człowieka może zbawić tylko łaska boska, która sama działa w nim z siłą nieprzepartą, a działając daje człowiekowi specjalną wyższą rozkosz (*delectatio*), zmuszając go do dobrego. Jeśli mimo to człowiek grzeszy, oznacza to, że nie miał łaski dostatecznej.

Bóg pragnie zbawić wszystkich. Nie znaczy to, że pragnie zbawić wszystkie jednostki ludzkie, lecz znaczy, że pragnie zbawić wszystkie społeczeństwa i wszystkie stany, a z jednostek zbawi tylko te, które są do tego przeznaczone.

Do zbawienia niezbędna jest tylko „łaska wystarczająca”. Gdyby jej człowiek nie otrzymał, daremnie będzie stosował wysiłki, przyjmował sakramenty – zwłaszcza sakrament Eucharystii. Brak tej

łaski pozbawi człowieka owej „specjalnej wyższej rozkoszy”, a skłonność do rozkoszy niskich, ziemskich zmusi go do postępowania złego.

Poglądy Janseniusza na rolę łaski i wolnej woli człowieka, zwane jansenizmem, zaczęły się rozszerzać i zyskiwać sobie poważne i wybitne osobistości. Wśród nich pierwszorzędną rolę odgrywał wspomniany wyżej Jean du Vergier de Hauranne (1581-1643). Był on opatem w klasztorze Saint-Cyran w Tours. Mówiło się wtedy o nim i pisało, a prym wiedli w tej akcji jezuiti, że on to wraz z Arnaudem d'Andilly i Korneliuszem Janseniuszem oraz trzema innymi teologami katolickimi miał w roku 1621 radzić nad zastąpieniem katolicyzmu przez deizm. Pascal, związany również z jansenizmem, w swoich *Listach* uważa te pogłoski za oszczerstwo, którego mieli dopuścić się jezuiti w dziesięć lat po śmierci du Vergiera.

W 1613 r. Du Vergier nawiązał stosunki dewocyjne z klasztorem cysterek w Port-Royal pod Paryżem, pozyskując dla idei Janseniusza ksienię klasztoru, Matkę Anielę Arnauld. Przez nią wprowadził w życie mniszek surowe zasady ascetyczne, zaprowadził surowe praktyki religijne zmierzające do osiągnięcia – jak to oceniają teologowie katolicy – nadludzkiej wprost doskonałości. Zakonnice, uważając się za grzeszne i niegodne, oczekiwały owej specjalnej, wyższej rozkoszy duchowej, mającej wyniknąć z działania łaski boskiej i nie przystępowały do sakramentów, by nie popełnić świętokradztwa, przyjmując niegodnie ciało Pańskie. Odczuwano bowiem rozdziew między grzesznością człowieka, a świętością Eucharystii. Jansenistyczny kult Eucharystii raczej oddalał wiernych od częstej komunii niż do niej zachęcał. Na tym właśnie polegała, zdaniem teolo-

gów ortodoksyjnych, dewiacja tego kultu. Toteż arcybiskup Sens potępił założony w roku 1623 w Paryżu Instytut Przenajświętszego Sakramentu, oddany pod kierownictwo Matki Anieli, a duchowo sterowany przez Du Vergiera. Tenże arcybiskup kazał ocenzurować książkę napisaną -przez siostrę Anieli, Agnieszkę pt. *Chapelet secret du Saint-Sacrement* (Tajemny różaniec do Najświętszego Sakramentu), którą to książkę potępiło dodatkowo ośmiu doktorów. Janseniusz jednak i wielu innych doktorów z Sorbony stanęło w jej obronie, a Du Vergier napisał w 1634 r. aż dwa pisma polemiczne. Został też ojcem duchownym pań z tego Instytutu i całkowicie zawładnął ich umysłami. Odgrywał rolę wyroczni, stał się jakby „krynicą prawdy” do której spieszył każdy, kto miał jakieś wątpliwości religijne i pragnął je rozstrzygnąć. Płomienne jego kazania miały licznych i niewątpliwie fanatycznych słuchaczy, którzy obcowali jedynie z Bogiem i z Du Vergierem.

Uderzenie przyszło niespodzianie. Dnia 14 maja 1638 r. kardynał Richelieu kazał uwięzić Du Vergiera, który został osadzony w zamku Vincennes. Kardynał zabrał mu 32 tomy manuskryptów celem sprawdzenia ich ortodoksyjności przez biskupa Chartres Lescot'a, ale procesowi mu nie wytoczył. Więzienie, początkowo surowe, z biegiem czasu łagodniało. Du Vergier mógł swobodnie pisywać listy, którymi inspirował swoich zwolenników i przyjaciół, zwłaszcza Antoniego Arnaulda, przygotowującego książkę pt. *De la fréquente Communion* (O częstej Komunii świętej). Po śmierci Richelieu, jego następcą kard. Chavigny 6 lutego 1643 r. zwrócił Du Vergierowi wolność, z której on, niestety, nie długo mógł już korzystać, gdyż zmarł w tym samym roku (11 X 1643), a w uroczystościach żałobnych wzięło udział aż 7 biskupów. Na

wniosek jego wielbicielki Matki Anieli, zwłoki Du Vergiera podzielono na części i rozebrano jako relikwie: serce złożono w Port-Royal des Champs, wnętrzności w paryskim Port-Royal, a ręce zabrała Matka Aniela.

Po śmierci Du Vergiera na czele jansenistów stanął Antoni Arnauld (1612-1694), którego książka *O częstej Komunii świętej*, inspirowana z więzienia przez Du Vergiera ukazała się w 1643 r. Wzbudziła wielkie poruszenie i bardzo gwałtowną polemikę. A. Arnauld studiował na Sorbonie i jak wielu w owym czasie, zagłębiał się w pisma Augustyna. Wyświęcony na kapłana w 1643 r. w tymże roku otrzymał członkostwo Sorbony. W licznych swoich pismach bronił on Janseniuszowego *Augustinusa*, walczył z jezuitami, zwłaszcza w swym głośnym wówczas dziele *Théologie morale des Jésuites* (Teologia moralna jezuitów).

Niestety, potępiony przez uniwersytet paryski i usunięty (wraz z innymi, myślącymi podobnie) z Sorbony, musiał ukrywać się przed wrogami, nie przestając jednak duchowo wspomagać zakonnic z Port-Royal. Odcinając się od oskarżeń o herezję, broniąc swe katolickiej ortodoksji, A. Arnauld ogłosił szereg pism przeciw kalwinom, z których najgłośniejsze było *La perpétuité de la foi de l'Eglise catholique touchant L'Eucharistie* (Wieczność wiary Kościoła katolickiego w Eucharystii). Dziełem tym zjednał sobie względy trzech panujących za jego życia papieży: Klemensa X, Innocentego XI i Aleksandra VIII. W dodatku, w czasie trwającego między Rzymem a Paryżem sporu o regalia (czyli o kompetencje króla w zakresie obsadzania biskupstw) Arnauld opowiedział się po stronie papieża. Uratował przez to w oczach władz kościelnych swą ortodoksję, ale został wygnany z kraju w 1679 r. Udał się wtedy



Blaise Pascal

na emigrację do Belgii, potem do Holandii, gdzie nadal polemizował z protestantami i jezuitami, pisząc między innymi *La morale pratique des Jésuites* (Praktyczna moralność jezuitów) i *Lettre contre le Père Mallebranche* (List przeciw ojcu Mallebranche).

A. Arnauld zmarł w Brukseli i tam został pochowany. Jedynie jego serce złożono w Port-Royal. Zasłynął nie tylko zaangażowaniem się w jansenizm. Postulował uniezależnienie filozofii od teologii, a system filozoficzny Kartezjusza uważał za zgodny z katolicyzmem. Opracował ponadto wraz z Nicol'em *Logique de Port-Royal ou l'art de penser* (Logika Port-Royal albo sztuka myślenia) – pierwszy nowożytny system logiki. Zbiór jego dzieł w 45 tomach ukazał się w Lozannie w 1783 r.

3. Port-Royal

Kilkakrotnie już wspominaliśmy o opactwie cysterek w Port-Royal, uważanym od pewnego czasu za symbol jansenizmu i jego siedlisko. Warto poświęcić

temu ośrodkowi nieco więcej informacji, dzieje bowiem jego były długie i ciekawe.

Port-Royal, to nazwa dwóch różnych opactw cysterek. Pierwsze z nich założył w roku 1204 Odon de Sully biskup Paryża, osadzając w klasztorze 12 zakonnice. Nosiło ono nazwę Port-Royal des Champs i było położone blisko Chevreuse pod Paryżem. Przez 400 lat żyły tam zakonnice, a opactwo obdarzone było przez papieża Honoriusza III wielkimi przywilejami. Narastające z biegiem lat bogactwo spowodowało rozprężenie wewnętrzne, zaniedbanie obowiązującej reguły św. Benedykta i rozluźnienie klauzury.

W opactwie tym w roku 1608 reformę zaprowadziła ksieni Matka Maria Aniela Arnauld, a liczba zakonnice wzrosła do 80. Ponieważ jednak klasztor zlokalizowany był w dolinie pełnej wilgoci, zapanowały w nim choroby. Klasztor, jak mówią historycy, zamienił się w infirmerię (rodzaj szpitala wewnętrznego, niedostępnego dla publiczności). Trudnej sytuacji zaradziła ksieni Aniela Arnauld, która ze środków finansowych swej bogatej rodziny w 1625 r. zakupiła piękny dom w Paryżu na przedmieściu świętego Jakuba. W ten sposób powstało drugie opactwo cysterek, które nosiło nazwę Port-Royal de Paris. Tytuł protektorki przyjęła królowa Maria de Medicis, a klasztor został poddany kościelnej jurysdykcji biskupa paryskiego. Z opactwem tym połączył się założony w roku 1633 nowy zakon Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu.

Zakonnice opuściły Port-Royal des Champs i przeniosły się do nowego opactwa. W opuszczonych murach opactwa starego znajdowali schronienie różni ludzie świeccy i duchowni, czujący awersję do dworu królewskiego. Żyjąc bez reguły zakonnej, zajmowali się oni pracą fizyczną i nauką. Z tego ośrodka wyszły wielkie dzieła, jak np. logika Antoniego Arnauld,



Michael Bayus

metody greckie i łacińskie Lancelot'a, Moralność Nicol'a, historia kościelna Tillemont'a, słynna Biblia Sacy, tłumaczenie *Wojny Żydowskiej* Józefa Flawiusza przez d'Andilly. Zgromadzeni w murach klasztoru znakomici uczeni stworzyli rodzaj szkoły, do której garnęła się zdolna młodzież z poważnych rodów francuskich. Tam kształcił się Racine, dwaj bracia Bignon, Achilles de Harlay, tam też przez jakiś czas przebywał Pascal.

Na działalność tej szkoły niechętnym okiem patrzyli jezuiti, nie mogąc przeboleć, że najznakomitsza młodzież w królestwie wymyka się spod ich wpływów. Niechętny jej był też Ludwik XIV (którego spowiednikiem był właśnie jezuita Tellier), klasztor bowiem był przystanią dla wielu osób zniechęconych do dworu. Rozpoczęły się intrygi. Jezuiti przypuścili atak nie tylko na opactwo stare, ale i na zakonnice mieszkające w opactwie nowym, rzucając podejrzenie nawet na ich obyczaje. Jezuita Brisacier napisał przeciw nim książkę, którą – występując w obronie zakonnice – arcybiskup Paryża Gondi obło-

zył cenzurą. Jezuici, triumfując na dworze królewskim, nic sobie z tego nie robili, publikując i szerząc po klasztorach niechętnych dla Port-Royal de Paris nowe oszczerstwa. W sumie wyjednali u króla zamknięcie szkoły dla młodzieży wyborowej, a władze usunęły z Port-Royal des Champs mieszkających tam i pracujących samotników. Ukazały się wtedy słynne *Prowincjałki* Pascala, wymierzone w jezuicką etykę oportunistyczną.

4. Decyzje papieskie

W opactwie Port-Royal de Paris *Augustinus* Janseniusza znalazł grunt dobrze przygotowany przez Du Vergiera, który całkowicie zawładnął umysłami i sercami mniszek uważających siebie za „uczennice św. Augustyna”. Należy pamiętać, że w owych czasach silny był w teologii i filozofii nurt augustyński, a we Francji istniała grupa kilkunastu biskupów katolickich sprzyjających jansenizmowi (byli to tzw. biskupi sansenizujący) – pamiętamy, że siedmiu z nich wzięło udział w pogrzebie jansenisty Du Vergiera. Dyskusje jednak trwały, a ortodoksję katolicka reprezentowali głównie jezuici i prowadzący spory z kwietyzmem Bossuet. Stolica Apostolska została zmuszona do zabrania głosu. Papież Innocenty X (1644-1655) w roku 1653 bullą *Cum occasione* potępił pięć zdań z *Augustinusa*. Janseniści jednak, pod wodzą A. Arnaulda, przystąpili do szczegółowego analizowania bulli papieskiej i kwestionowania papieskiej decyzji. Jansenizujący biskupi opierając się na tzw. „swobodach gallikańskich” byli również oburzeni na decyzję papieża. „Swobody” te wymagały m.in., by Stolica Apostolska przed wydaniem rozstrzygającego wyroku zasięgnęła opinii biskupów francuskich. Ponieważ kontrowersje nie słabły a intrygi się wzmaczały, papież Aleksander VII (1665-1667) dla

przecięcia ich, dwiema bullami: *Ad sanctam Beati Petri sedem* i *Regiminis Apostolici* z roku 1665 potwierdził postanowienia Innocentego X, nie skłoniło to jednak jansenistów do uległości.

Za następnego papieża Klemensa IX (1667-1669), który zasiadł na Stolicy Apostolskiej pod naciskiem dworu francuskiego, spory wyciszyły się. Janseniści zastosowali tzw. *silentium obsequiosum* (posłuszeństwo milczące), ale po cichu działali nadal. Duch jansenizmu rozszerzał się na całą Europę. Rygorystyczne praktyki ascetyczne jansenistów odstraszały wiernych od Eucharystii. Istniało wiele parafii, których proboszczowie stosowali wszystkie stopnie pokuty publicznej.

Po sześćioletnim panowaniu papieża Klemensa X (1670-1676) na Stolicy Piotrowej zasiadł, wbrew zabiegom dworu francuskiego, 33-letni Innocenty XI (1676-1689). Zaostrzył się konflikt między papieżem a zazdrosnym o swą absolutną władzę Ludwikiem XIV. Papież potępił dążenia kleru francuskiego do autonomii i dyscyplinarnej niezależności („swobody gallikańskie”), które to dążenia popierał Ludwik XIV inspirując deklarację z roku 1682, akcentującą autonomię gallikańską. A kiedy król mianował 35 biskupów, papież odmówił ich zatwierdzenia i 35 diecezji francuskich pozostało bez rządców. Francja znalazła się o krok od zerwania z jurysdykcją papieską, a Stolica Apostolska została zagrożona wielką schizmą. Innocenty XI jednak, sympatyzujący w teologii z augustynizmem nie był skłonny do jawnego potępienia jansenizmu, którego doktryna była wszak wprowadzana z pism św. Augustyna.

Po śmierci Innocentego XI i po krótkim panowaniu dwóch kolejnych papieży (Aleksandra VIII i Innocentego XII), na tronie papieskim zasiadł Klemens XI

(1700-1721). Ożywiły się spory z jansenistami. W tym czasie jansenizm propagował Quesnel Pasquier (1634-1719), kapłan ze zgromadzenia oratorianów, który ogłosił refleksje moralne nad *Dziejami i Listami Apostolskimi*, odznaczające się namaszczeniem i głębokim uczuciem religijnym. Rekomendował je protektor Quesnela, a wróg jezuitów, kard. arcybiskup Paryża Ludwik Antoni de Noailles, sam zaś Bossuet wyrażał się o nich przychylnie. Jezuici jednak na przekór kardynałowi, dopatrywali się w tym dziele błędów jansenizmu i wyjednali u papieża jego potępienie. Kardynał Paryża odwołał się od tego potępienia do soboru powszechnego. Rozgorzały spory teologiczne, napisano setki rozpraw dziś już przez nikogo nie czytanych (sam Quesnel opublikował przeszło 60 dzieł teologicznych), na wygnanie skazano mnóstwo ludzi, w tym i niewinnych, prześladowano i więziono nawet za sam udział w sporach, których treść nierzadko była niezrozumiała dla dyskutantów. Wykonanie potępienia Quesnela powierzono spowiednikowi króla, jezuitcie Tellier. Pod jego naciskiem Bossuet arcybiskup z Meaux (Mechliński) polecił w roku 1703 uwięzić Quesnela, który szczęśliwie przy pomocy przyjaciół zdołał z więzienia uciec do Amsterdamu i tam po 15 latach zmarł w 86 roku życia.

Jak wyjaśnia prof. Jan Baszkiewicz w swej *Historii Francji* (1974, s. 315), Ludwik XIV właściwie nie odróżniał jansenistów od wrogich sobie hugenotów. Jedni i drudzy stanowili – jego zdaniem – zagrożenie dla monarchii absolutnej i usiłowali przyćmić blask „Króla-Słońce”. Jansenistów posądzał ponadto o sympatie republikańskie. Hugenoci już dawno (23-24 sierpnia 1572), zostali wyrżnięci w słynnej nocy świętego Bartłomieja, a wobec jansenistów król wymógł jednoznaczne potępienie na papieżu Klemensie XI.

Dnia 8 września 1713 r. papież bullą *Unigenitus* (Jednorodzony Syn) potępił 101 zdań z *Augustinusa*. Okazało się, że niektóre z tych zdań nie pochodziły od Janseniusza, lecz od samego św. Augustyna, a przez Janseniusza były tylko cytowane! Arcybiskup Paryża kardynał de Noaille sprzeciwił się bulli papieskiej, czym ściągnął na siebie prześladowanie jezuitów. Przyjął ją na krótko przed swoją śmiercią w roku 1729. Parlament paryski jednak aż do śmierci króla uchylał się od zarejestrowania jej jako ustawy państwowej. Przeciwnie bulli, jak i wcześniejszym potępieniom papieskim, były również „uczennice św. Augustyna”, mniszki z Port-Royal.

5. Końcowe losy Port-Royal

Mniszki ciągle odmawiały podpisywania dokumentów papieskich, uparcie analizując problematykę teologiczną. Dlatego jeszcze przed ukazaniem się bulli *Unigenitus* dwór królewski zabronił przyjmowania do klasztoru nowicjuszek, a po śmierci ksieni zakazał wybierania nowej. Uważał wszak to środowisko za siedlisko opozycji królewskiej.

To też w roku 1709 o godzinie 7 rano do akcji wkroczyła policja. Klasztor pod Paryżem zamknięto i opieczętowano. Zdeprawowano cmentarz przyklasztorny, na którym spoczywali m.in. Racine i Pascal, otwarto groby, wydobyto zwłoki i poprzeszono je na inne cmentarze, by ludność nie oddawała im czci. Część majątku ruchomego przekazano do Port-Royal w Paryżu, część rozsprzedano. Wreszcie zburzono sam klasztor, a miejsce po nim zaorano i zasiano.

6. Wymiar polityczny jansenizmu

Współczesnemu badaczowi trudno uwierzyć, by tak zdecydowane i ostre tę-

pienie jansenizmu wynikało jedynie z przesłanek religijnych, z troski o czystość doktryny katolickiej. Rola łaski w zbawieniu człowieka należy w chrześcijaństwie do ścisłych tajemnic wiary, podobnie jak Eucharystia i Trójca święta. Spory na te tematy ciągnęły się przez wieki, ale tajemnicy łaski nie zrozumiał dotychczas nikt w chrześcijaństwie i nikt chyba jej nie zrozumie nigdy.

Ostrość represji wobec jansenistów można zatem wyjaśnić ich uwikłaniem w politykę. Dowodzą tego badania A. Barnes'a, J. Orcibala, L. Willaret'a, L. Ceyssens'a, G. Namera i innych, których wyniki zebrał i omówił Jean Delumeau (dz. cyt., s. 127-159). Wynika z nich, że janseniści rekrutowali się ze środowisk opozycyjnych wobec absolutnego władcy Francji Ludwika XIV. Janseniści usiłowali, w ramach swobód gallikańskich utrzymać niezależność episkopatu francuskiego od papieża i króla. Król opowiedział się w sprawach doktrynalnych za decyzjami papieża, ale episkopat francuski był podzielony. Świadczy o tym fakt, że 7 biskupów jansenizujących wzięło udział w pogrzebie Du Vergiera. Niewielu biskupów opowiadało się za supremacją papieża, wielu natomiast raził królewski absolutyzm. Z okazji sporów dogmatycznych postawę opozycyjną wobec króla i Rzymu zajmował również parlament, długo nie raz zwlekając z zarejestrowaniem bulli papieskiej jako ustawy państwowej. Ideologia jansenistyczna była naturalnym sojusznikiem Frondy. Opuszczanie Paryża i unikanie dworu królewskiego przez wielu świątłych ludzi, którzy zamykając się w klasztorze Port-Royal-des-Champs tworzyli jakby emigrację wewnętrzną i nie chcieli „obrać się” wokół absolutnego monarchy było również odbierane i niemile widziane przez Ludwika XIV jako kontestacja i opozycja polityczna intelektualistów. Nic dziwnego, że klasztor

zburzono i pole po nim zaorano. Niszczono wszak ośrodek opozycji tym groźniejszy, że janseniści przedstawiali siebie jako obrońcy autonomii sumienia i urabiali sobie opinię publiczną, by wyrzucić nacisk na władzę. W ten sposób, przy okazji sporów teologicznych, jansenizm nabrał charakteru stronnictwa politycznego, które – jak tego dowodzi R. Taveneaux – docierało do całego społeczeństwa w różnych jego warstwach. W ten sposób rozwijał jansenizm elementy demokracji pod rządami króla, który nie wahał się identyfikować siebie z państwem („Państwo to ja”, mawiał o sobie). Jansenizm rozwijając dążności demokratyczne, przekształcił spory teologiczne w spory polityczne i zapoczątkował procesy, które doprowadziły Francję do rewolucji. Nie na darmo Ludwik XIV nazywał jansenistów „republikanami”.

Badania najnowsze dowodzą, że ideologia jansenistyczna nie była ciągle taka sama, lecz z biegiem czasu zmieniała się. Jej zwolennicy rozkładali akcenty sporów demokratycznych w zależności od aktualnej potrzeby społeczno-politycznej. Po śmierci Ludwika XIV (1715), wypuszczono jansenistów z więzień, a wygnanym pozwolono wrócić do kraju. Odtąd jansenizm co raz bardziej stawał się składnikiem narodowej mentalności i zyskiwał coraz więcej przeciwników monarchii absolutnej.

Zakonnice z Port-Royal de Paris, podpisując pod presją policji kolejne dokumenty papieskie, żyły w miarę spokojnie aż do rewolucji francuskiej, w czasie której Konwent zmienił klasztor w więzienie, a jego nazwę „Port-Royal” zamienił na nową – „Port-Libre”. Jansenizm wygasł, gdyż jego idee polityczne zrealizowała Wielka Rewolucja Francuska, a spory teologiczne, nie mając już podłoża politycznego, przestały interesować ludzkie umysły. □

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

Przygody z książką

Sytuacjom życiowym dawno minionych pokoleń towarzyszyły różnorodne emocje: trwoga, przerażenie, radość lub triumf. Przyroda budziła spokój i ufność lub troskę i strach. I właśnie słowa przeobrażały te emocje w mity i baśnie, a potem w poezje i opowieści. Słowo tworzyło nowe światy w wyobraźni ludzkiej; fikcyjne światy literatury, sztuki i filozofii. Światy te dominują w życiu człowieka myślącego, wpływając na jego poglądy i postawy.

Poezje i powieści kształtują bezpośrednio losy wielu ludzi, a pośrednio – tworząc kulturę duchową – losy narodów. Chcę opowiedzieć o tym, jaką rolę odegrały w moim życiu.

Pierwszy wierszyk, który zrozumiałem, był to „Z tamtej strony Wisły kapłała się wrona”. Odkryłem wtedy nowe dla mnie zjawisko: oto słowa oderwały się od spraw codziennych i ukazały mi coś, czego nie widziałem, ale wiedziałem, że jest i jakie jest. Wiedziałem więc, że ptak nazywał się wrona, a człowiek porucznikiem. Niezwykłość sytuacji wydała mi się zabawna.

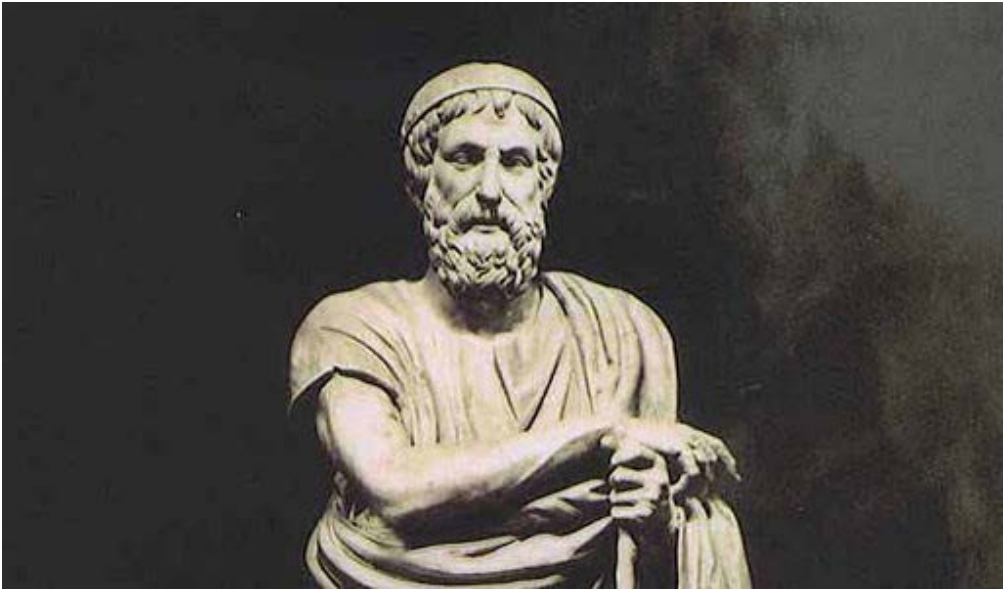
Piękno świata objawiły mi wiersze ze Snopka i „Podarunku dla młodzieży”; zwłaszcza zaś wierszyk „Jadą, jadą dzieci drogą”. Były tam także wiersze wesołe, jak np. „Cztery mile za Warszawą”, zabawne – „Raz kotek był chory”, lub nudne: „Staś na sukni zrobił plamę”.

Potem przyszedł czas na wiersze, które nie tylko bawiły, ale także wzruszały.

Z przejściem deklamowaliśmy wiersz: „Kto ty jesteś?” i „Stał błądy, milczący, z posiekana głową”. One nam powiedziały, co to jest Polska i co to znaczy być Polakiem. Oczarowały nas wiersze o polach i lasach: „Stopniały już śniegi”, „Po brzozowym cichym lesie”; i najbardziej malowniczy: „Noc lazurowa perłami rosi”.

Wiersze stanowiły źródła smutków i radości. Przenikały one realny świat i stanowiły jego dopełnienie, jak zapach jest dopełnieniem łąk i lasów. Myślę, że właściwym odbiorcą poezji jest dziecko i ci, którzy zachowali dziecięcą wrażliwość.

W dzieciństwie dostarczycielem wierszy był mój starszy brat Wojciech, uczeń nielegalnej szkoły pani Przyborowskiej. Fascynacja poezją nie opuściła go w dalszym życiu. Pisał wiersze przez całe życie, ale drukował tylko przed rewolucją. Rewolucja wstrząsnęła życiem milionów, kierując je na obce im tory. Po 1939 roku, w obozie karnym na dalekiej północy Syberii, uzdolnienia poetyckie Wojtka uratowały go od śmierci głodowej. Zbyt osłabiony po więzieniu śledczym nie był w stanie odebrać swych racji żywnościowych, gdyż wyrywali mu je współwięźniowie kryminaliści. Dopiero napisanie wzniosłego panegiryku na cześć obchodzonych w obozie uroczystości skłoniło kierownictwo do ukrócenia tego proceduru. Już po drugiej Wojnie Światowej siostra mojej żony, Danuta, w zupełnie po-



Homer

dobny sposób uniknęła prześladowań jakiejś sadystycznej więźniarki w Fordonie.

W następnym okresie mojego życia wiersze utraciły swą anonimowość. Czytaliśmy już – świadomi autorstwa – wiersze Syrokomli, Wincentego Pola, Niemcewicza, a nawet Mickiewicza; kalejdoskop poezji rozsypał się na barwne różańce znanych i podziwianych poetów.

W roku 1907, wyjechałem z siostrą Janiną na Litwę. Dotychczas znałem tylko Ukrainę, najpiękniejsze kraje nad Rosją. Szerokie pola, łąki i rzeki Ukrainy jawiły mi się bezpośrednio, natomiast Litwę ujrzałem przez pryzmat poezji Pola, Syrokomli i Mickiewicza. Krajobrazy litewskie oddziaływały na moją wyobraźnię nie tak oszałamiająco jak ukraińskie, ale urokiem ich nie mogłem się nasycić w ciągu wielu spędzonych tam wakacji.

W 1908 roku wróciliśmy z Litwy; zacząłem przygotowywać się do egzaminu wstępnego do pierwszej klasy Kijowskiej Szkoły Realnej – musiałem więc dobrze opanować język rosyjski. Przy tej okazji poznałem poezję Tiutczewa, Feta,

Połońskiego, Lermontowa; urzekły mnie, podobnie jak Tuwima, ich dźwięczność i melodyjność.

Od roku 1912 świat wielkiej poezji stał przed nami otworem. Dzięki niezrównanym przekładom Briusowa i Balmonta czytałem i zachwycałem się poezją Rimbeau, Baudelaire'a, Verlaine'a, Rodenbacha i innych; paru autorów francuskich i niemieckich czytałem w oryginałach. Rozkoszowałem się Sołłogubem, Buninem, Gumiłowem, Achmatową, Błokiem; o wiele mniej Siewierianinem. Rosyjska poezja budziła zachwyt bogactwem metafor i rytmem, nieznanym poezjom wielu narodów.

Poezja polska tego okresu to Słowacki, Asnyk, Brzozowski, Miciński i Tetmajer. Mądrość Staffa i zmysłowość Tetmajera były dwoma biegunami marzeń młodych lat. Szczytami poezji do dziś pozostały dla mnie „Kruk”, „Statek pijany” i „Grób Agamemnona”. Nie jestem zwolennikiem współczesnej poezji. Jest ona chropowata, niespójna, a nieme metafory pozbawiły wierszy życia i wiarygodności.

Słowa gromadzą się tu w strofy „zdziwione własnym sąsiedztwem”; ich pojęciowa i emocjonalna ekspresywność budzą nieufność. Wielokrotnie usiłowałem odbierać tę poezję, uchwycić istotę jej estetycznego oddziaływania. Na próżno, nie było mi to dane. Wydaje mi się, że współczesna poezja zrodzona jest przesytem poezji minionych lat. Myślę czasami, że wielu spośród współczesnych twórców to ogórki Gałczyńskiego, które jednak postanowiły śpiewać. Może uniknęłoby się wielu sporów, gdyby tę nową twórczość nazwać Tuwimowskim terminem „słowienie” i odpowiednio nowe prądy w muzyce – „dźwiękowaniem”.

Z biegiem lat malało moje zainteresowanie powieściami; czytałem coraz mniej powieści, ale nie mniej niż w młodości i nie z mniejszą wrażliwością – poezji.

Z czasem podziw dla sekwencji słów i nieomylnych skojarzeń usuwał w cień nastroje liryczne poezji w dawnych latach. Poezja i wiersze towarzyszyły mi przez całe długie życie. Towarzyszyły w bezsennych nocach spędzanych w domu lub na polu walki. Czasem przypominały strofy wyciszały gorycz, godziły z ponurą rzeczywistością; przenosiły z poczekalni kolejowych lub z sal szpitalnych w czasy dzieciństwa. Z namaszczeniem wypowiedziana strofa rozładowywała napięcia lub godziła powaśnionych. W naszym życiu rodzinnym poezja stanowiła ważny czynnik jedności i zgody.

W zupełnie innych światach, w regionach odległych od liryki jako „tkliwej dynamiki”, powstały i trwały w odczuciach i działaniach ludzi – poezja walki, bohaterstwa i wysiłku. Budzi ona zupełnie inne emocje. W czasie młodości mieliśmy z nią rzadkie i blade kontakty. W czasie wojny pojawiły się na co dzień pieśni żołnierskie i legionowe. Rolę i znaczenie

tych pieśni w pełni oceniłem w wojsku, zwłaszcza w Czwartej Szkole Podchorążych w Kijowie; wtedy poznałem potęgę pieśni żołnierskiej.

Pieśń rewolucyjna pojawiła się w moim życiu nie jako pieśń walki i nadziei, ale jako pewien szacowny obrzęd; nie jak żywa pieśń, ale jako jej dalekie echo.

Zupełnie inna rola w życiu moim przypadła opowieściom. Świat opisów utworzony ze słów stanowi jakby kanwę słowno-pojęciową. Wypełnia ją życiem i głębią wyobraźnia czytelnika. Wyobraźnia przekształca werbalne informacje w pulsujący ruchem i emocjami niewidzialny, ale istniejący świat. Powieści tworzą krajobrazy, splatają losy ludzkie i wydarzenia. Losy bohaterów układają się różnie; czyni ich budzą uznanie i podziw lub dezaprobatę.

Najwcześniejszymi opowieściami mojego życia były bajki Grimmów. Odkryły mi one, że istnieją gdzieś mówiące ptaki, latające konie i siedmiomilowe buty; a oprócz zwykłych dobrych ludzi istnieją także czarownice, olbrzymy i królowie, którzy krzywdzą innych. Wspaniałe było to, że to oni pomimo siły i przebiegłości przegrywali, a dobrzy w końcu zwyciężali i żyli długo.

Świat ten rozszerzyły bajki 1001 nocy, a później bajki Konopnickiej, Puszkina i Andersena. Od ósmego roku życia prócz bajek czytałem coraz częściej powieści przygodowe i podróżnicze. W małej naszej bibliotece, pochodzącej z darów, pojawiły się książki Mayne’a Reida, Jules Verne’a, Coopera, a także Robinson Crusoe. Krzyżowały się one z opowieściami Sindbada Żeglarza i wszystkie godziły się ze sobą. Dla wszystkich było dość miejsca w wyobraźni dziecka. Pierwszą książkę podróżniczą, którą mi czytano, była „Do-

lina bez wyjścia” Mayne’a Reida. Chwila, w której słoń sięgał trąbą po Assada, stojącego na pionowej skałce, budziła nieopisaną grozę; nie mogłem słuchać – nawet gdy zapewniano mnie, że Assad i podróżnicy ocaleją, a słoń poniesie klęskę, na którą zasłużył (wtedy byłem jeszcze po stronie ludzi). Ten sam niepokój i przerażenie wywołała walka o życie marynarzy na małej tratwce w powieści „Połów potworów morskich”, lub błędzenia Axela w czeluściach ziemi w powieści Verne’a. Nadwrażliwość tamtych lat pozostała mi na całe życie.

Do dziś przynębiają mnie złe losy bohaterów powieściowych; w tym samym stopniu co cierpienia realnych ludzi. Wrażliwość taka nie jest rzeczą rzadką; nawet zatwardziali aferzyści leją łzy nad losem pokrzywdzonych przez nich (siebie?). Jest to zrozumiałe. Różnice między katastrofą fikcyjną, opisaną w powieści a rzeczywistą polega m.in. na tym, że fikcja, przedstawiająca katastrofę, izoluje ją. W pewnym momencie czytelnik pozostaje sam na sam z klęską. Przedstawia mu się negatywnie cierpienia ofiary i wszystko co je wyraża. Czytelnik cierpi razem z bohaterem i ogląda niejako to cierpienie od zewnątrz; klęska nabiera wymiarów kosmicznych. Tu już trudno oprzeć się naciskowi sugestii; współczucie wyzwala smutek i łzy. Oscar Wilde pisał o sobie, że największą tragedią jego życia było samobójstwo Lucjana de Rubempré. Niejeden z czytelników Sienkiewicza opłakiwał śmierć Podbięty.

W realnym świecie nie przeżywa się cudzego cierpienia; co najwyżej smuci ono nas. Własne cierpienie nie jest wypreparowane ze świata. Cierpiąc widzi się ludzi, drzewa, domy; pozostają relacje do otoczenia, niezalatwione sprawy, dzień jutrzejszy. Cierpienie splata się z cało-

kształtem doznań i jest tylko dominującym ich składnikiem.

Gdy miałem jedenaście lat, towarzysząc lat dzieciennych zapytał mnie: „czy lubisz średniowiecze?” W pierwszej chwili pytanie wydało mi się niedorzeczne; zapytał wyraźniej, czy lubię książki historyczne; i dał mi do przeczytania „Trzech Muszkieterów”. Wkroczyłem w nowe światy; przekonałem się, że nie wszyscy mężczyźni są nudni. Okazało się, że życie bohaterów powieściowych, nawet nie podróżników, może być tak interesujące i zrozumiałe jak nasze zabawy. Otworzył się świat pojedynków, honoru, walk i poświęć; znany nam z zabaw i dobrze rozumiany. Trylogia Sienkiewicza urealniła mi świat przygód, umiejscawiając go w dobrze znanych wsiach i folwarkach Ukrainy i Litwy. Ten świat już znałem, był to świat historii ze szkoły Babci Ułaszyn, w którym przygody prowadzą do tryumfu lub klęski narodów.

I tak przepłynął przez lata późnego dzieciństwa długi pochód bohaterów Dumasa, Gautiera, Stevensona, Sienkiewicza i Gąsiorowskiego. Otwierał go Robinson Crusoe. Bohaterowie Waltera Scotta i Wiktora Hugo szli na szarym końcu; nie przemawiali mi do wyobraźni tak jak Atos i Aramis, pan Wołodyjowski, Kmicic, kapitan Fracasse i Książę Srebrny.

Wtedy właśnie odkryłem, że nastrój i urok książki zależy w pewnym stopniu od tego, czy czyta się ją z opartymi o stół łokciami i zaciśniętymi uszami, przed lampą naftową, czy gdzieś wysoko na dachu, skąd widać dalekie lesiste wzgórza otaczające miasto, czy też na wakacjach w lesie lub w okopach frontu. Książki przechowują nie tylko zasuszone w nich gałązki, ale także wspomnienia i wrażliwość dawnych lat. Technienie młodej wy-



Aleksander Dumas – ojciec

obraźni, darzące życiem książkę, zostaje po latach zwrócone przez nią czytelnikowi.

Światopogląd i preferencje literackie kształtują się pod wpływem przyjaciół i przygodnych towarzyszy młodości. Na moje upodobania i akceptacje miał duży wpływ starszy o parę lat Henek Chociński, student szkoły malarskiej. Zginął walcząc w oddziale Bajończyków we Francji w 1914 r., ale pamięć o nim i to bardzo dokładną zachowałem do dzisiaj. On właśnie dał mi do przeczytania opowieść Poe'go; było to wielkie przeżycie dla czternastoletniego chłopca.

Mówiłem już o tym, że sytuacja wielkiego zagrożenia i tragiczne losy bohaterów powieściowych budziły we mnie smutek i przygnębienie. Wystarczyło jednak odłożyć książkę, a świat fikcji bladł i zanikał. Natomiast nastrój przygnębienia i zagrożenia dreszczowców trwał nadal i dużo czasu upłynęło, nim wracało pełne zaufanie do rzeczywistości. Wyjaśnienie tego nie jest trudne. Przestrzeń powie-

ści jest także przestrzenią czytelnika; wie on jednak, że świat powieści jest fikcyjny, to znaczy, że nie ma bohaterów powieściowych i ich spraw. Natomiast w dreszczowcach wprowadza się nadprzyrodzone moce, a sugestywna wiara w nie przenika i deformuje przestrzeń czytelnika, poddając ją działaniu potężnych i wrogich mocy. Nasila sugestywność atawizm przerażenia. Świetnym przykładem tego jest „Le Horla” Maupassanta.

W podobny sposób mogą oddziaływać dobre powieści fantastyczno-naukowe. Po przeczytaniu jesienią 1910 r. „Podróży w czasie” Wellsa zatraciłem kontakt z otoczeniem. Wracając późnym wieczorem z biblioteki szedłem ulicami nierealnego miasta; przechodnie należeli do minionego czasu i przestrzeni. Nawet wtedy, gdy wróciłem do domu i siedziałem w fotelu w pustym przypadkowo mieszkaniu, świadomość zagubienia się w czasie i zupełnej obcości napełniły mnie rozpaczą.

Lata 1911-1915 były dla mnie i brata latami literatury i sportu. Na naukę prze-

znaczałem pełnych 5-6 godzin spędzanych w szkole, bez wypoczynku i wytchnienia. Na lekcjach notowałem ściśle wykłady, a na pauzach przed lekcjami czytałem notatki z poprzedniego wykładu. System taki wymagał wielkiego wysiłku i wprawy, ale działał dobrze. Wszystkie pozaszkolne godziny miałem dla siebie i przeznaczałem je na lekturę i piłkę nożną.

Dostarczycielem książek była słynna księgarnia i wypożyczalnia Leona Idzikowskiego. Była ona jednym z ognisk polskości na Ukrainie. W Kraju nie uważano jego zasług, podobnie jak nie doceniano roli, jaką wtedy odegrały w życiu narodu Polskie Kresy. Dla młodzieży polskiej w Kijowie księgarnia Idzikowskiego była nie tylko kontaktem z Krajem, ale także – dzięki tłumaczeniom rosyjskim – z literaturą Zachodu. Była oknem na świat.

Okres dzieciństwa zamykały dzieła Rodziewiczówny: „Dewajtis” i „Straszny dziadunio”, oraz dwie wspaniałe książki: „Wspomnienia niebieskiego mundurka” Gomulickiego i „Księga dżungli” Kiplinga. Pierwsza z nich o życiu szkolnym, zupełnie nam nieznanym, ale bliskim i zrozumiałym.

Okres młodości rozpoczynała literatura skandynawska na czele z „Wiktoria”, „Panem”, „Marzycielami” Hamsuna, „Peer Gyntem” i „Dziką kaczką” Ibsena, „Göstą Berlingiem” Lagerlöf. W 1913 r. na Litwie rozpoczął się dla mnie cykl francuski w oparciu o biblioteczkę wujaszka Antosia, u którego w Malinówce spędzaliśmy wakacje. W tym czasie lektura szkolna traktowana była bardzo sumiennie.

Rozpoczęta w tych latach wędrówka przez życie z książką trwa nadal. Książki nie opuszczały mnie ani w okresach pracy naukowej, ani w głodne i mroźne mie-

siące wojny i rewolucji. Jedynie w chwilach katastrof życiowych, na krawędzi zniszczenia, umierała wyobraźnia i milły książki. Wracałem do nich później, jak z dalekiej podróży do domu.

Książki przenikają cały świat człowieka; mówią o doniosłości lub znikomości życia, o ludziach małych i wielkich, o czasach minionych i przyszłych. Są nośnikami tradycji narodu i wytyczają życiowe losy. Książki to nieskończony kosmos, są tam gwiazdy olbrzymie i karły, są konstelacje i gromady gwiazdne, są satelity i komety. Cały firmament. Moimi supergwiazdami byli: Szekspir, Dostojewski i Proust.

W losach moich książki odegrały decydującą rolę. Opowiadania „Mojego pisemka” były źródłem wymyślanych zabaw na Litwie, gdzie spędziliśmy z siostrą cały 1907 rok. Wiersze i powiastki mówiły nam, że lasy, kwiaty, tęcze, wschody i zachody słońca są nieustającym pulsowaniem piękna. „Urodzony Jan Dęboróg”, „Pieśń o Ziemi Naszej” i „Pan Tadeusz” otworzyły nam oczy na dostojeństwo niezwykłości Litwy.

W grudniu 1914 roku uciekłem z kolegą Łazowskim z ostatniej klasy Kijowskiej Szkoły Realnej do Legionów Garczyńskiego. Wychowywano mnie w tradycji powstań i romantyzmu, ale bezpośrednią przyczyną ucieczki była lektura „Popiołów”, a zwłaszcza opowieści „Na wojence dalekiej”. A potem już wszędzie, gdzie pośrednio lub bezpośrednio walczone o Polskę, nie zabrakło mnie.

Na boiskach, na szlakach turystycznych lub na frontach pierwszej wojny przyświecały mi przykłady bohaterów Londona; nie było wtedy dla czytającej młodzieży większego autorytetu; miał więcej entuzjastów niż pięćdziesiąt lat późniejszy Hemingway. London twier-

dził, że jedynie ofiarność i męstwo tworzą męzczyznę, uczył kochać życie i świat. Zapomniano o nim.

Najwięcej zawdzięczam Dostojewskiemu. Wielokrotnie czytałem jego dzieła. Odsłonił mi głębię duszy ludzkiej, bezmiar jej cierpień i miłości, jej blaski i nędzę. Jego bohaterowie namawiali mnie do wstrząsających i niezwykłych wyczynów, ale skutecznie chronili przed hazardem, alkoholizmem; podobnie bohaterki jednej z powieści Mirabeau ostrzegły mnie przed morfiną.

Nieoczekiwaną funkcją powieści jest realizacja pomysłów bohaterów powieściowych (raczej autorów). Przed wyjazdem po wojnie w 1939 roku jesienią z Włodzimierza do Warszawy obficie zaopatrzyłem pozostającą tam rodzinę w odzież, żywność, wyroby tytoniowe (prowadziłem tam hurtownię tytoniu). Przywożone towary widziała młoda Ukrainka, nasza pomoc domowa. Po przybyciu do Włodzimierza władz radzieckich doniosła o tym. Szukano tych towarów przez kilka godzin, w końcu zaczęto się raczyć winem z piwnicy. Poszukującym, przywykłym do tego, że ściana jest ścianą, nie przyszło do głowy, że ściana mogła być podwójna, a przestrzeń między ścianami schowkiem dla wielu rzeczy. Pomysł ten zawdzięczałem bohaterowi opowiadania „Przedsiębiorca budowlany” Conan Doyle’a. W identyczny jak w tej książce sposób zabudowałem przestrzeń między dwoma bliźniaczymi domami odległymi o 1 metr. Była ona później wykorzystana przez mieszkającą w tym „zbliżniaczonym” domu Ciotkę Wandzię jako schronienie dla kilku ukrywających się Żydów.

Bohaterowie „12 krzesel” podsunęli mi myśl, że spółdzielnia może być dobrym szyldem dla zapewnienia dokumentów i możliwości działania pewnej liczby

osób w trudnych okresach. Tym też celom służyła spółdzielnia założona przeze mnie w roku 1918, a potem w 1939 roku. Dzięki niej żyli i działali niektórzy z organizatorów ruchu oporu.

Są także ujemne skutki namiętnego czytelnictwa. Następuje jakby nasunięcie się fikcji literackich na przestrzenie realnego życia. A więc cel, do którego dążyło się wytrwale, zostaje w ostatniej chwili przekreślony; przypadek powoduje klęskę; ktoś – jak np. mój brat – w parę miesięcy po powrocie z syberyjskich obozów do rodziny i przyjaciół umiera. Często na szczęśliwe dni życia literatura rzuca smugę cienia: mądrość i pesymizm. Czytelnik powieści traci zaufanie do życia, traktuje je podejrzliwie, jak gdyby jego reżyserem był melodramatyczny autor.

W późnych latach życia zachodzi zmiana zainteresowań. Poznane są stereotypy stosunków między ludźmi, a więc fabuła powieści społecznych i psychologicznych staje się mniej interesująca. Słabnie, niestety, siła wyobraźni i mniejsza jest gotowość do współpracy z autorem. W związku z tym zainteresowanie odchyła się w kierunku faktów, a więc książek historycznych, biograficznych i popularno-naukowych, a także fantastyki naukowej.

Wielu współczesnych autorów szuka nowych dróg. Niektórzy znajdują formy wyrazu w postaci antypowieści lub udziwnionej fabuły. Inni dostarczają czytelnikom emocji opisując myśli i przeżycia chorych psychicznie. Próby te są mało interesujące, problemy najczęściej sztuczne i jałowe, treść odbija życie jakby w krzywym zwierciadle. Robią one wrażenie efekciarstwa.

Każda dobra powieść zawiera problemy egzystencji ludzkiej i jest w pewnym stopniu filozoficzna. Współcześni autorzy zastanawiają się często nad bezcelo-

wością życia ludzkiego, nieuniknionością śmierci, bezradnością człowieka. Są to dobrze znane od czasów Eklezjasty lamente. Niewielu wszakże skłonią do samobójstwa. Rzecz w tym, że człowiek ma dominujący instynkt życia i jak wszystko w przyrodzie – trwania. Lamenty autorów karawaniarzy, bo taka przystoi im nazwa, umniejszają jedynie w odczuciu czytelnika wartość i niezwykłość fenomenu zwanego życiem ludzkim. Głosząc pesymizm usiłują zyskać tanim kosztem opinię głębokich filozofów, aczkolwiek bardziej konsekwentnym byłoby głoszenie chwały człowieka, jego świadomości i myśli.

I na koniec o pewnej – często niedostrzeganej – funkcji dzieł literackich.

Utwór literacki jest opisem dziejów wyróżnionej grupy rzeczywistych lub fikcyjnych postaci, przebywających w dowolnym miejscu i czasie, fikcyjnej lub realnej przestrzeni.

Odbiór utworu literackiego jest złożonym przeżyciem. Jego elementami są emocje, przedstawienie i abstrakcyjna wiedza o opisywanych postaciach. Im ostrzejsze i wyrazistsze są te elementy, tym silniejsze jest oddziaływanie utworu na czytelnika.

Krytycy literaccy przypisują wyższe wartości książkom psychologicznym, społecznym, demaskatorskim lub nasyconym filozofią (sceptycyzmem, freudyzmem, egzystencjalizmem itd.). Tym utworom przeciwstawia się opowieści; są one często pomijane lub niezauważane przez krytyków.

Wartość opowieści jako dzieł sztuki jest różna. Łączy je to, że głównym motywem jest tu fabuła, a więc interesujący lub zaskakujący przebieg wydarzeń. Opowieściami są poematy Homera, trylogia Sienkiewicza, powieści Dumasa, Rózdziwiczówny, Stevensona, Eugeniusza

Sue, Conan Doyle’a, Hoffmanna i innych. Genialnymi opowiadaczami byli Homer i Sienkiewicz.

Normalny utwór literacki zawiera obie te tendencje (społeczną i indywidualizującą). Przykładami równego ich udziału w dziełach literackich są „Biesy”, „Idiota”, „Czerwone i Czarne”, oraz wiele innych.

Opowieści wzbogacają życie osobiste czytelników. Losy bohaterów, w których przyjmuje on bierny udział, budzą w nim żywy oddźwięk. Opowieści różnych krajów, mówiące o bohaterach, dają ubocznie informacje o świecie, w którym także żyje – często na uboczu – czytelnik. Opowieści nasycają życie czytelnika emocjami, zaspokajają pośrednio jedną z podstawowych potrzeb ducha ludzkiego: dowiadywania się i wiedzy. Ponure i tragiczne losy bohaterów powieściowych wstrząsają wrażliwym czytelnikiem. Na tym – myślę – polega oczyszczające działanie tragedii greckich (kátharsis). Ten wstrząs może spowodować nową ocenę ludzi i zdarzeń.

I w końcu: natura człowieka, tak jak ją ukształtowała przyroda, domaga się głębokich przeżyć; czasem nawet atawistycznych. Zdobywanie pożywienia, obrona życia, dążenie do posiadania – wszystko to wymagało walki, wysiłków, pościgów, ucieczek. Łączyło się to z uczuciami tryumfu, przerażenia, grozy. Współczesny człowiek odczuwa – jak się zdaje – niedosyt tych przeżyć. Jest on mieszkańcem przeludnionej ziemi, obywatelem opiekuńczego państwa. Szuka więc ich surrogatu w opowieściach; pomaga mu w tym wyobraźnia. Wyobraźnia, która jest warunkiem odbioru dzieł literackich jest także warunkiem wszelkiej twórczości. Film i teatr oparte na rozumieniu rezygnują z wyobraźni; nie mogą więc zastąpić czytelnictwa. □

AGATA URSYN

Religia w polskiej szkole publicznej. Krótka historia decyzji z 1990 roku

Zaczęło się od groźby, a skończyło na załatwieniu sprawy przez państwo i władzę Kościoła katolickiego w Polsce - mówiąc potocznie - poza plecami opinii publicznej, do tego w szybkim tempie i z naruszeniem obowiązującego prawa.

Dwugłowy decydent

„Gdy byłem w Komisji Wspólnej Episkopatu i Rządu PRL żądałem powrotu nauki religii do szkół. Powiedziałem, że jeśli nie będzie zgody, to żądam plebiscytu” – wspominał po latach arcybiskup Ignacy Tokarczuk (1918-2012).

Władze komunistyczne uważały tego hierarchę katolickiego za jednego z głównych wrogów ustroju politycznego w Polsce. Dla ludu katolickiego był to zaś duszpasterz i biskup niezłomny. Słynął w okresie PRL z budowania w podległej sobie diecezji przemyskiej nowych kościołów (430 budynków) i tworzenia nowych parafii (220 jednostek). Czynił to wszystko bez pozwolenia władz państwowych, wspierany przez wielu księży i miejscową ludność.

Atakowany nieustannie przez komunistów, biskup nauczył się twardo „walczyć z państwem” o sprawy swojego kościoła lokalnego, czyli diecezji. W określonym momencie odważył się podobnie potraktować pierwszą postkomunistyczną ekipę polityczną. Był to rząd kierowany przez Tadeusza Mazowieckiego, działający krótko (24 sierpnia 1989 r. – 4 stycz-

nia 1991 r.), ale dosyć skutecznie w nowej i trudnej rzeczywistości politycznej. Należy dopowiedzieć w tym miejscu, że bp Tokarczuk zażądał zlikwidowania systemu katechezy parafialnej, funkcjonującego w Polsce w latach 1961-1990¹. Systemu, który był następstwem antykościelnej polityki wyznaniowej realizowanej przez komunistyczne władze państwowe.

Emocjonalne *dictum* biskupa I. Tokarczuka padło na forum Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Konferencji Episkopatu Polski. Pod względem formalnoprawnym jest to organ Rady Ministrów i ma charakter porozumiewawczy (inaczej: opiniodawczo-konsultacyjny) między władzą państwową i władzą Kościoła katolickiego w Polsce. Działa z przerwami od 1949 r., z różną intensywnością i w różnorodnej sytuacji politycznej. Badacze tego podmiotu uważają, że w kontekście wielu lat działania można Komisję Wspólną „uznać za arenę lobbingu Episkopatu Polski wobec naczelnych władz państwowych (...), miejsce formułowania rozstrzygnięć z zakresu polityki państwa, forum zaciągania wiążących politycznie zobowiązań przez kolejne gabinety”. Tak też było w przypadku rządu T. Mazowieckiego.

Komisja Wspólna zajęła się po raz pierwszy sprawą przywrócenia nauki re-

¹ Zob. więcej: A. Ursyn, *Szkoła bez religii. Doświadczenia polskie z lat 1961-1990*, „Forum Myśli Wolnej” nr 87.



Tadeusz Mazowiecki

ligii w szkole publicznej na posiedzeniu w 18 maja 1990 r. Opinia publiczna dowiedziała się z komunikatu prasowego, że „istnieje potrzeba współdziałania przy rozwiązywaniu problemów prawnych i technicznych związanych ze zmianą ustawy o edukacji narodowej. Podjęto problem powrotu religii do szkół i w związku z tym zadeklarowano wzajemną pomoc przy pełniejszym wykorzystaniu budynków szkolnych i katechetycznych”. Natomiast po posiedzeniu odbytym 27 czerwca 1990 r. informowano, że „Komisja stoi na stanowisku, że katechizacja dzieci i młodzieży niesie ze sobą podstawowe wartości etyczne i moralne w procesie wychowania. Z tego powodu uznano za niezbędne, by państwowe placówki oświatowe zapewniły możliwość pobierania nauki religii przez wszystkich uczniów, których rodzice wyrażą takie życzenie, gwarantując jednocześnie wolność sumienia i wyznania obywateli”.

Obie strony były zainteresowane szybkim urzeczywistnieniem powyższego zapewnienia, ale każda kierowała się inną racją. Kościół katolicki chciał jak najszybszej objąć nauką religii uczniów we wszystkich typach szkół oraz w przedszkolach publicznych (!). Rządowi potrzebny był natomiast spokój w sferze społeczno-politycznej i niekonfliktowanie się zwłaszcza z Kościołem, już na początku procesu przemiany ustrojowej państwa. Dlatego „decyzję podjęliśmy szybko, bo trzeba było załatwić tysiące innych spraw (...). Przebudowywaliśmy całe życie polityczne w kraju, także system edukacyjny” – wspomina Henryk Samsonowicz, ówczesny minister edukacji.

Ekspresowe tempo działania

Przepisy umożliwiające przywrócenie nauki religii do szkół przygotowała specjalna podkomisja mieszana, powołana przez Komisję Wspólną. Zredagowano dokument umożliwiający rozpoczęcie katechezy szkolnej dla katolików już od 1 września 1990 r.

Bp Tadeusz Pieronek, który uczestniczył w pracach podkomisji jako zwykły kapłan, tak opisuje działanie tego grona: „Wspólnie z [vice]minister oświaty Anną Radziwiłł i jej współpracownikami oraz biskupami Materskim i Zimniami opracowywaliśmy treść instrukcji. Wprawdzie wykonywaliśmy polecenia Episkopatu, ale mieliśmy wolną rękę przy ustalaniu szczegółów, zresztą niezmiernie ważnych. Spieraliśmy się np. między sobą, czy katecheza ma być przedmiotem obowiązkowym dla wszystkich, czy też dobrowolnym. To były dramatyczne dyskusje. Na szczęście zwyciężyła koncepcja oparta na poszanowaniu wolności człowieka i katechezę uznano za przedmiot nadobowiązkowy. Religia wróciła do szkół kuchennymi drzwiami, bo trwały

wakacje i rozpoczęcie wielkiej debaty było równoznaczne z odsunięciem sprawy – ważnej dla edukacji setek tysięcy dzieci – o co najmniej rok. Poza tym pamiętajmy, że w 1960 roku religię usunięto z programu nauczania metodami drakańskimi i nikt wtedy nie pytał rodziców o zdanie. Po prostu przywróciliśmy stan pierwotny”.

W ten sposób powstała „Instrukcja Ministra Edukacji Narodowej z dnia 3 sierpnia 1990 r. dotycząca powrotu nauczania religii do szkoły w roku szkolnym 1990/91”. Był to dokument najniższej rangi urzędowej. Zawierał przepisy doraźnie regulujące kwestię katechezy szkolnej, ale bardzo szczegółowe w treści - zgodnie z naturą instrukcji urzędowej.

Kościół katolicki uzyskał więc szybko to, czego żądał biskup Tokarczuk. Nie było dlań istotne w żadnym momencie, że instrukcja była niezgodna z obowiązującą wtedy ustawą z 1961 r. o rozwoju systemu oświaty i wychowania. Ten akt prawny nie dopuszczał bowiem katechizacji w szkole publicznej. Wcześniej należało zatem zmienić ustawę, a potem wydać odpowiednie rozporządzenie, czyli przepisy wykonawcze do ustawy. Tego nie zrobiono. Ale w tamtym czasie nie można było pozwolić sobie na to, aby pracować kilka miesięcy nad nową ustawą - wyjaśniał po latach były minister H. Samsonowicz. Innym naruszeniem prawa było wydanie instrukcji, której minister nie opublikował urzędowo. Fakty te wytwarzały nieprzychylną atmosferę wokół wprowadzenia nauki religii do szkół i podważały autorytet rządu o solidarnościowych korzeniach.

Zakulisowe i pośpieszne układanie się rządu z Kościołem katolickim niepokoiło inne kościoły działające w Polsce. Ich nie dopuszczono do ustalenia zasad katechezy w szkole, chociaż zdawano sobie sprawę ze specyfiki organizacyj-



Bp Ignacy Tokarczuk

nej tzw. kościołów mniejszościowych. Dowodzi tego treść punktu 14 instrukcji MEN z 3 sierpnia 1990 r.:

„System oświatowy zapewnia nauczanie religii innym kościołom i związkom wyznaniowym na zasadach przewidzianych dla Kościoła Katolickiego, chyba że zainteresowane kościoły lub związki wyznaniowe wystąpią o ustalenie innych zasad”. Trudno o mocniejszy dowód na arogancję nowej władzy państwowej wobec mniejszości religijnych w Polsce.

A inne zasady katechezy były nieodzowne. Mniejszościom religijnym odpowiadał bowiem ze względów praktycznych mieszany system nauczania religii: w szkołach państwowych i w parafialnych punktach katechetycznych. W konsekwencji Polska Rada Ekumeniczna przygotowała szybko odpowiedni dokument, który został umocowany urzędowo jako „Instrukcja Ministra Edukacji Narodowej z dnia 24 sierpnia 1990 r. dotycząca powrotu nauczania religii do szkoły w roku szkolnym 1990/91, określająca zasady współdziałania z Kościołami i Związkami Wyznaniowymi poza Kościołem Rzymskokatolickim”. Także ten dokument był obarczony wadami prawnymi wskazanymi przy instrukcji MEN z 3 sierpnia 1990 r.

Galimatias prawny

Obie instrukcje obowiązywały także w roku szkolnym 1991/92. W tym czasie sprawa nauczania religii w szkole została uregulowana zgodnie z wymogami prawa. Uchwalono nową ustawę o systemie oświaty i wydano przepisy wykonawcze. Wcześniej opinia publiczna i środowisko prawnicze otrzymały sygnał, będący ważnym przyczynkiem do procesu budowania państwa prawa w Polsce po 1989 r. i do postawy władzy państwowej wobec szkolnej katechezy.

Chodzi o orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z dnia 30 stycznia 1991 r. w sprawie legalności i konstytucyjności instrukcji dotyczących powrotu nauczania religii do szkoły w roku szkolnym 1990/91. Trybunał zajął się sprawą z wniosków Rzecznika Praw Obywatelskich (wtedy funkcję tę pełniła prof. Ewa Łętowska). RPO zakwestionowała tryb wprowadzenia katechezy do szkół i sformułowała zarzut niezgodności obu instrukcji z obowiązującą Konstytucją RP oraz kilkoma ustawami. Trybunał orzekł, iż nie doszło do złamania prawa i naruszenia przez instrukcje między innymi konstytucyjnej zasady oddzielenia Kościoła od państwa i zasady świeckości państwa.

Jak trudna była rozpatrywana sprawa świadczy wynik głosowania nad przyjęciem orzeczenia TK: 6 sędziów zgadzało się ze stanowiskiem RPO, 6 było przeciwnych. W tej sytuacji przeważało na „tak” stanowisko przewodniczącego składu orzekającego (Leonard Łukaszuk). Trzech sędziów przedstawiło swe zdanie odrębne na piśmie (Czesław Bakalarski, Kazimierz Działocha, Remigiusz Orzechowski). Każdy obszernie argumentował, iż Trybunał Konstytucyjny niesłusznie oddalił zarzuty RPO, i że obie instrukcje są niezgodne z obowiązującymi przepisami.

Pozytywnym następstwem kontrowersyjnego orzeczenia TK było rozpoczęcie pracy nad nową ustawą o systemie oświaty i jej uchwalenie 7 września 1991 r. Katecheza szkolna uzyskała wreszcie należyta, bo ustawową podstawę prawną. Odpowiednie przepisy ustawy stanowiły wtedy, że: „Art. 12. 1. Uznając prawo rodziców do religijnego wychowania dzieci, szkoły publiczne podstawowe organizują naukę religii na życzenie rodziców, szkoły publiczne ponadpodstawowe – na życzenie bądź rodziców, bądź samych uczniów; po osiągnięciu pełnoletności o pobieraniu nauki religii decydują uczniowie. 2. Minister Edukacji Narodowej w porozumieniu z władzami Kościoła Katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych kościołów i związków wyznaniowych określa, w drodze rozporządzenia, warunki i sposób wykonywania przez szkoły zadań, o których mowa w ust. 1”.

Rozporządzenie zapowiedziane w ustawie wydał 14 kwietnia 1992 r. minister Andrzej Stelmachowski. W żargonie prawniczym bywa więc ono czasem przywoływane jako *lex Stelmachowski*. Zawiera szczegóły zaczerpnięte z obu instrukcji przygotowanych w 1990 r.

Ustawowe umocowanie nauki religii w szkołach publicznych w 1991 r. było brane pod uwagę w trakcie pracy nad nową konstytucją państwa, w latach 1991-1997. Politycy spierali się o to, czy w ogóle należy regulować w konstytucji kwestię katechezy w szkołach, i jak to wyrazić. Zdołano wypracować rozwiązanie kompromisowe. W rezultacie Konstytucja RP z 2 kwietnia 1997 r. stanowi, że: „Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób” (art. 53 ust. 4).

Warunek zawarty tej formule budzi emocje także po wielu latach. Prowokuje do pytania czy norma konstytucyjna umożliwi usunięcie katechezy ze szkół publicznych? A nie brakuje w Polsce A.D. 2021 zwolenników takiego rozwiązania.

Inaczej przebiegało uregulowanie sprawy nauczania religii w przedszkolach publicznych.

Kościół Katolicki nie domagał się w 1990 r. wejścia do tych placówek wychowawczych. W praktyce to jednak uczynił i katechizował dzieci przedszkolne od 1990 r., przy milczącej aprobacie władz państwowych. W *lex Stelmachowski* „usankcjonowano” to działanie postanawiając, że „Do czasu wydania zarządzeń przewidzianych w przepisach o stosunku Państwa do poszczególnych kościołów i związków wyznaniowych zachowują moc instrukcje wymienione w ust. 1 [z 3 i 24 sierpnia 1990 r.] odnośnie do nauki religii w przedszkolach publicznych i w zakładach opiekuńczo wychowawczych” (§ 13. 2). Ten przejściowy stan prawny trwał kilka lat.

Własne zaniechanie czy też niedopatrzenie legislacyjne Kościół katolicki powetował sobie w konkordacie między Stolicą Apostolską i Rzeczpospolitą Polską, podpisanym w Warszawie 28 lipca 1993 r. Układające się strony liczyły w tamtym czasie na szybką, niemalże automatyczną ratyfikację tej umowy międzynarodowej. Doszło do tego dopiero 23 lutego 1998 r. Konkordat zaczął obowiązywać od 25 kwietnia 1998 r.

Dla władz państwowych oznaczało to dostosowanie prawa polskiego do wielu postanowień konkordatu. W sprawie nauki religii stanowiono w nim, że: „Artykuł 12. 1. Uznając prawo rodziców do religijnego wychowania dzieci oraz zasadę tolerancji Państwo gwarantuje, że szkoły publiczne podstawowe i ponadpodstawowe oraz przedszkola, prowadzone przez



Henryk Samsonowicz

organy administracji państwowej i samorządowej, organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych i przedszkolnych.

2. Program nauczania religii katolickiej oraz podręczniki opracowuje władza kościelna i podaje je do wiadomości kompetentnej władzy państwowej. 3. Nauczyciele religii muszą posiadać upoważnienie (*missio canonica*) od biskupa diecezjalnego. Cofnięcie tego upoważnienia oznacza utratę prawa do nauczania religii. Kryteria wykształcenia pedagogicznego oraz forma i tryb uzupełniania tego wykształcenia będą przedmiotem uzgodnień kompetentnych władz państwowych z Konferencją Episkopatu Polski. 4. W sprawach treści nauczania i wychowania religijnego nauczyciele religii podlegają przepisom i zarządzeniom kościelnym, a w innych sprawach przepisom państwowym. 5. Kościół katolicki korzysta ze swobody prowadzenia katechezy dla dorosłych, łącznie z duszpasterstwem akademickim”.

W świetle art. 12.1 konkordatu było więc tylko formalnością znowelizowanie ustawy o systemie oświaty. Uczyniono to 25 lipca 1998 r. Artykuł 12 ust. 2 ustawy otrzymał wtedy brzmienie: „1. Publiczne przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazja organizują naukę religii na życzenie rodziców, publiczne szkoły ponadgimnazjalne na życzenie rodziców bądź samych uczniów; po osiągnięciu pełno-



Uroczystość podpisania konkordatu

letności o pobieraniu nauki religii decydują uczniowie”. W 1999 r. zmieniono odpowiednio także *lex Stelmachowski*, poczynając od tytułu dokumentu. Od tego czasu jest to rozporządzenie „w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach”. Utrzymano w nim m.in. formę katechezy. Dla ucznia jest to przedmiot nieobowiązkowy, czyli fakultatywny i *nadobowiązkowy*, czyli dodatkowy. Realizowany jest w wymiarze 2 godzin lekcyjnych tygodniowo. W przedszkolach są to 2 zajęcia przedszkolne.

Za i przeciw decyzji

Decyzja dotycząca powrotu nauczania religii do szkoły w roku szkolnym 1990/91 podzieliła wszystkie środowiska: społeczeństwo, polityków, i co ważne także ludzi Kościoła katolickiego (osoby duchowne i świeckie). Badacze zagadnienia zebraли aż 20 argumentów „za” i 22 argumenty „przeciw” decyzji. Były to głosy rzeczowe i rozsądne, ale także emocjonalne i demagogiczne w treści. Znane były decydom, ale nie przyczyniły się -zwłaszcza argumenty „przeciw” - do zmiany uzgodnienia Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu RP i Episkopatu Polski.

Wedle zwolenników decyzja z 1990 r. była aktem sprawiedliwości dziejowej po

okresie rządów komunistycznych i sygnałem do zlikwidowania w szkołach systemu wychowania, który polegał na „tzw. schizofrenii moralnej – czego innego uczyła szkoła, a czego innego rodzice i Kościół” - komentował ks. Edward Majcher. Głoszono, że katolicyzm musi być obowiązkowym elementem tożsamości ucznia w polskiej szkole. Ważny był argument ulżenia dzieciom i rodzicom pod względem organizacyjnym. Mówiąc językiem współczesnym: katecheza w szkole likwidowała niebagatelny i wieloletni problem logistyczny. Było to przyprowadzanie dzieci przez rodziców do parafialnych punktów katechetycznych na naukę religii, nie tylko katolickiej.

Przeciwnicy decyzji uważali natomiast m.in., że otwiera ona drogę do klerykalizacji szkoły i życia publicznego w Polsce, że religia w szkole będzie sprzyjać nietolerancji i antagonizowaniu uczniów na tle światopoglądowym. Wyrażano obawę, że nauczanie religii na forum szkoły doprowadzi do desakralizacji i zbanalizowania przedmiotu, że przyczyni się do zwolnienia rodziny i parafii z odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia w wierze.

W miarę upływu czasu okazało się, że obawy oponentów były słuszne. Ale w 1990 roku decydenci nie wybiegali w przyszłość. □

Sojusz ołtarza z tronem

Degradacja moralna Kościoła katolickiego w Polsce jest porażająca. Na skutek upadku jego autorytetu pustoszeją Wyższe Seminarium Duchowne, młodzież szkolna tysiącami wypisuje się z lekcji religii i coraz więcej dotychczas wierzących katolików podejmuje decyzję o apostazji, czyli o świadomym formalnym wystąpieniu z Kościoła Katolickiego w Polsce.

Zdumiewający wprost upadek moralności kleru polskiego piastującego godność kardynalską, arcybiskupią i biskupią, nie zapominając o zwykłych kapłanach-pedofilach, od niedawna stopniowo ujawniany, rozsądza organizację kościelną od wewnątrz. (Koniecznie przeczytaj: „Pusty Kościół” – wywiad Joanny Podgórskiej z ks. prof. Andrzejem Kobylńskim, w: „Polityka” nr 10/2021, s. 24-27).

Lud, dotychczas wierzący i praktykujący burzy się, tysiące kobiet polskich w dziesiątkach większych i mniejszych miast manifestują swój sprzeciw przeciwko zaostreniu ustawy antyaborcyjnej (z którego głośno cieszy się Prymas Polski), zmuszającej kobiety polskie do heroizmu; a tego robić nie należy. Heroizm, owszem, jest bardzo cenną, choć trudną postawą moralną. Chwała herosom, ale zmuszać do niej przepisami państwowego kodeksu karnego nie wolno.

Szkoda, że nie rozumie tego polski kler katolicki i podlizująca się jemu rządząca Polską partia polityczna (PiS). Ta partia, która zawarła sojusz, zwany sojuszem „ołtarza z tronem” umacnia w Polsce teologiczny fundamentalizm i towarzyszący mu zamordyzm. Pamiętamy przecież wzajemne umizgi obu władz – państwowej i kościelnej. Pamiętamy, jak to władza świecka dziękowała panu Rydzykowi, kierownikowi katolickiej rozgłośni radiowej i telewizyjnej w Toruniu, za popieranie jej w wyborach parlamen-

tarnych, bez którego to poparcia – mówił prezes Jarosław Kaczyński – „tych wyborów byśmy nie wygrali”.

Pamiętamy też, jak ów Rydzyk zapowiadał obserwację działalności ustawodawczej Sejmu Polskiego. – „Będziemy się przyglądać” – mówił, postulując taki kształt prawa prokreacyjnego, jakiego życzy sobie kościelny fundamentalizm, wymagający od polskich kobiet postaw heroicznych. Pamiętamy również, jak wyciągał ręce po mamonę dla potrzeb toruńskiego ośrodka rozgłośni katolickich i jak ta państwowa władza świecka hojnie go obdarowywała.

Ale czy fundamentalizm i zamordyzm to coś nowego, czego nigdy jeszcze nie było? Sięgnijmy więc do historii, do początków czwartego wieku naszej chrześcijańskiej ery. Okaże się, że sojusz Ołtarza z Tronem nie jest wynalazkiem współczesnych Polaków. Wiemy z historii, że nowa religia chrześcijańska była w miarę swego rozwoju coraz bardziej prześladowana przez państwowe władze rzymskie. Prześladowania owe osiągnęły swój szczyt za czasów rzymskiego cesarza Dioklecjana (ok. 284-305 n.e.).

Cesarz ów, dążąc do umacniania państwa wspierał tradycyjne rzymskie wartości i wierzenia religijne. Należało czcić tradycyjne bóstwa opiekuńcze Rzymu. Siłę państwa upatrywał również w jego religijnym charakterze. Edyktem wydanym w roku 303 n.e. przeciwko chrze-



Giordano Bruno

ścijanom zakazał w nim gromadzenia się chrześcijan na wspólne nabożeństwa, nakazał niszczenie ksiąg liturgicznych i miejsc kultu religijnego w całym cesarstwie oraz aresztowanie biskupów i zwykłych księży. Nakazał też usunięcie chrześcijan z armii, zarzucając im zakłócanie państwowych uroczystości religijnych. Wydał specjalny edykt przeciw manichejczykom (chrześcijańskim heretykom) karząc ich śmiercią bądź dożywotnimi robotami w kopalniach. Ich przywódców kazał palić żywcem wraz z ich świętymi księgami.

Po śmierci Dioklecjana nielegalnie władzę cesarską objął uzurpator Maksencjusz opanowując wraz ze swoimi legionami Rzym. Posłuszeństwo wypowiedział mu Konstantyn, który ze swoimi z kolei legionami wyruszył na Rzym i w starciu na Moście Mulwijskim koło Rzymu wygrał bitwę z Maksencjuszem. Legenda głosi (spreparowana niechybnie

przez późniejszych apologetów chrześcijańskich), że przed bitwą Konstantyn doznał nadzwyczajnej wizji: oto ukazał się mu na niebie znak krzyża z napisem IN HOC SIGNO VINCES, tzn. „z tym znakiem zwyciężysz”.

Nakazał więc Konstantyn swoim legionistom umieścić na tarczach grecki monogram Chrystusa ze znakiem krzyża, dzięki czemu – wedle legendy – na Moście Mulwijskim pokonał Maksencjusza i został legalnym cesarzem Imperium. Panował w latach około 280-337 n.e. W owych to latach za panowania Konstantyna (nazwanego później Wielkim) pojawił się sojusz ołtarza z tronem, który trwał aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, rozpoczynającej długotrwały okres europejskiego Oświecenia. (O Oświeceniu pisałem w nr 73, s. 5-11 oraz w nr 74, s. 6-19 FORUM MYŚLI WOLNEJ).

Położył w ten sposób Konstantyn fundamenty pod materialną potęgę Kościoła. Zorganizował też kodyfikację doktryny chrześcijańskiej, ale nie wykluczał dotychczasowych wierzeń ludności rzymskiej. Prowadził politykę tolerancji religijnej, a w roku 313 wydał tzw. Edykt Mediolański, w którym zrównał chrześcijaństwo z tradycyjną religią Rzymian. Na Wschodzie Cesarstwa nad Bosforem założył nowe miasto, które od jego imienia przyjęło nazwę KONSTANTYNOPOL, i stało się w przyszłości ośrodkiem wschodniej części Imperium Romanum.

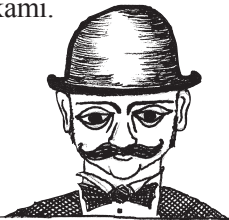
Z czasem zmieniło ono nazwę na BIZANCJUM. T tam, w pałacu cesarskim, odbywały się pierwsze sobory chrześcijańskie, od Soboru Nicejskiego (325 r.) poczynając, a na soborze Konstantynopolańskim IV (869-870) kończąc. Bizancjum było stolicą wschodniej części Cesarstwa Rzymskiego. Z czasem doszło do jego zerwania z Rzymem, a następnie do tzw. schizmy wschodniej. Zwane było

Drugim Rzymem. Konstanty miał przyjąć chrzest dopiero na łożu śmierci. Przez chrześcijański Kościół Wschodni (prawosławny) uznawany jest nawet za świętego.

W następnych stuleciach sojusz ołtarza z tronem – aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej – funkcjonował w ten sposób (mówiąc w największym skrócie), że władza kościelna decyzją papieża bądź soboru orzekała o tym, kto zniekształca doktrynę religijną. Ten jest heretykiem, a wtedy cywilna władza państwowa dokonywała egzekucji heretyka, na ogół przez spalenie na stosie. Tak np. było ze spaleniem na stosie w Rzymie (na Campo di Fiore) Giordana Bruno 17.02.1600 r. Podobnie rozprawiano się z innymi heretykami.

Tak również spalono na stosie tysiące czarownic za ich rzekome konszachty z szatanem, podobnie (organizując krucjatę) wyęciono w latach 1209-1229 albigensów w południowej Francji. To tylko kilka przykładów aktywności sojuszu ołtarza z tronem. Dopiero pod wpływem idei oświeceniowych władze ustawodawcze poszczególnych państw oddzielały i usamodzielniały władzę państwową świecką od władzy duchowej kościelnej.

Obecna Konstytucja Polski zaleca współdziałanie obu władz dla dobra społeczeństwa. I widzimy jak to współdziałanie wygląda. □



ABSURD

Kiedys w towarzystwie Tristan Bernard powiedział, że szczytem lenistwa jest „kiedy wstaje się o piątej rano, aby móc dłużej nic nie robić”.

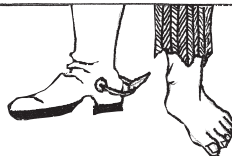
SEKSBOMBA

Maurice Chevalier – śpiewak i aktor – oglądał któregoś dnia najnowszy film z Audrey Hepburn. Jego sąsiadka nagle się odezwała:

- Urocza aktorka. Ale mówią o niej, że jest zimna jak głaz.

Na to Chevalier:

- Nie należy sądzić o temperamencie kobiet według ich wyglądu. Granat też jest zimny przed eksplozją.



DANUTA STOLAREK

Aleksander I - „Sfinks Północy” i kobiety jego życia

Aleksander I od pierwszych dni swojego życia był wychowywany przez babkę – carycę Katarzynę II. To babka, wbrew woli rodziców, postanowiła mieć decydujący głos w sprawach jego zdrowia, edukacji, a także przyszłego życia rodzinnego.

Dzieciństwo carewicza było zdecydowanie niewesołe. Musiał umiejętnie lawirować między dwoma nienawidzonymi się osobami: ojcem i babką. Nie dziwi więc fakt, że wyrósł na człowieka skrytego, dwulicowego, nazywanego niejednokrotnie „Sfinksem Północy”.

Gdy skończył 15 lat caryca rozpoczęła intensywne poszukiwania odpowiedniej narzeczonej dla wnuka. Po raz kolejny zostało uruchomione „niemieckie biuro matrymonialne”. Katarzyna II dokonała przeglądu niemieckich księżniczek i jej wybór padł na arystokrację z Badenii.

Przyszła małżonka Aleksandra była córką margrabiego Karla Ludwiga von Baden (tytuł książęcy otrzymał później) i Amalii von Hessen-Darmstadt. Matkę kandydatki na przyszłą carową Katarzyna II miała okazję poznać wcześniej – podczas poszukiwania narzeczonej dla swojego syna. Do Rosji przyjechały wówczas trzy niemieckie księżniczki: Luiza, Wilhelmina i Amelia. Paweł wybrał Wilhelminę. Pozostałe kandydatki, bogato obdarowane przez Katarzynę II wróciły w rodzinne strony.

Amalia, otrzymawszy carski posąg, wyszła za mąż za Ludwiga Badeńskiego. Z tego związku narodziło się sześć córek.

Spośród nich Katarzyna postanowiła wybrać kandydatką na żonę dla swego wnuka. Hrabia Rumiancew otrzymał polecenie przysłania do Rosji portretów Luizy i Fryderyki oraz przeprowadzenia poufnych rozmów z ich rodzicami. Po pozytywnym zaopiniowaniu (w uzgodnieniu z carycą), miał zaprosić matkę z córkami do Rosji. Księżna Amalia chowała dawne urazy, że to jej siostra, a nie ona, została carową. Kategorycznie odmówiła przyjazdu do Petersburga. Aby uratować sytuację po pretendence udała się do Niemiec hrabina Szuwałowa, zaufana dama dworu carycy. Przywiozła obie panny do Rosji 31 października 1792 roku. Caryca powitała obie księżniczki w towarzystwie ostatniego faworyta P. Zubowa i hrabiny Branickiej, siostrzenicy byłego faworyta – Potiomkina. Następnego dnia na „ogłędziny” kandydatek przybyli Paweł i Maria Fiodorowna. Przez półtora miesiąca w Ermitażu trwały koncerty, bale, spektakle teatralne. Dwór demonstrował swój przepych.

Aleksander, podobnie jak jego rodzice, nie był wtajemniczony w matrymonialno-dynastyczne plany babki. Pretekstem do przybycia księżniczek do Rosji miała być sytuacja związana z rewolucją francuską i z zagrożeniem dla Badenii. Dodatkowym argumentem miała być dawna znajomość Katarzyny z ich matką, a także chęć zapewnienia księżniczkom bezpieczeństwa i wykształcenia. Pomimo tak skomplikowanej intrygi, Aleksander za-



Aleksander I Romanow

czął się domyślać celu, jaki przyswiecał postępowaniu babki.

Po upływie około dwóch miesięcy przekazał księżniczce list, w którym pisał, że wolą rodziców jest, aby to właśnie ją pokochał. Zapytał także, czy może liczyć na wzajemność. Była to zaiste dziwna forma oświadczeń. W odpowiedzi carewicz otrzymał zapewnienie, że Luiza podporządkuje się woli rodziców. Po tych oświadczeniach Luizę i Aleksandra oficjalnie uznano za narzeczonych.

Przyszła carowa urodziła się 13 stycznia 1779 roku. Była o 2 lata młodsza od Aleksandra. Gdy zdecydowało się jej przeznaczenie intensywnie uczono ją języka rosyjskiego, wprowadzano w kanony prawosławia. Chrzest prawosławny otrzymała w wielkiej cerkwi Pałacu Zimowego. Było to 9 maja 1793 roku. Luiza przeistoczyła się w Jelizawietę Aleksiejewnę. W ślad za przejściem na prawosławie pojawił się tytuł wielkiej księżnej. Narzeczony podarował jej brylantową biżuterię.

Ze względu na młody wiek narzeczonych ślub odłożono na rok. Siostrę Luizy obdarowano kosztownymi prezentami i odesłano do Badenii.

O urodzie przyszłej carowej mogą świadczyć nie tylko zachowane portrety, ale i świadectwa jej współczesnych. S.S. Montefiore w książce „Romanowowie” przytacza fragment dzienników damy dworu, W. Gołowiny: „Elżbieta była piękna, z niebieskimi oczami i falującymi jasnymi lokami. Łączyła w sobie nieopisany wdzięk i powab oblicza oraz figury z szybkim pojnowaniem i jasnością umysłu. Jej anielska twarz, szczupła i elegancka figura oraz pełne gracji ruchy przyciągały powszechną uwagę...”

Zanim wyznaczono datę ślubu Katarzyna II zgodnie ze swoją mentalnością zaczęła „przygotowania praktyczne” wnuka przy pomocy zaufanych dam dworu. Chodziło oczywiście o przygotowanie Aleksandra do pełnienia obowiązków małżeńskich. Medycy Katarzyny potwierdzili dojrzałość płciową Luizy.



Cesarzowa Elżbieta

Ślub odbył się 28 września 1793 roku w wielkiej cerkwi Pałacu Zimowego. Carya – babka zadbała o możliwie największy przepych ceremonii. Oczywiście, dyżurni pochlebcy pospieszyli z zachwyta-
mi nad młodą parą. G. Dierżawin (jeden z wielu) w swojej odzie stworzonej na tę okazję napisał, że „Amor poślubił Psyche”.

Katarzyna II przydzieliła nowożeńcom najpiękniejsze apartamenty w Pałacu Zimowym.

Nawet jak na ówczesne obyczaje małżeństwo Aleksandra i Luizy (Jelizawiey Aleksiejewny) wydawało się przedwcześnie.

Pierwszy okres pożycia czternastolatki i szesnastolatka bardziej przypominał zabawy nastolatków niż prawdziwe życie rodzinne. Aleksander uznał się za dorosłego i porzucił wszelką edukację, a nawet lekturę. Wydawało mu się, że wystarczy ślub, by uzyskać dojrzałość. Młoda wielka księżna w listach do matki pisała o jego infantylnym zachowaniu. Uwa-

żała, że jego niektóre uczynki są niezgodne ze statusem przyszłej głowy Imperium. Sama Jelizawiea Aleksiejewna dużo czytała, była ciekawa świata, ceniła wiedzę. Swój dar świetnego opowiadania wykorzystywała do przybliżenia Aleksandrowi treści nowinek literackich. Jeżeli chodzi o uczucia – prezentowała niewinność egzaltowanej panienki.

Carewicz Aleksander zaprzyjaźnił się z młodym księciem Golicynem. Obaj młodzieńcy rzucili się w wir hulaszczego życia. W doborze towarzyszek do zabawy nie byli wybredni. Zachowały się informacje, że gustowali w zasadzie we wszystkich – od dworskich frejlin po Cyganki. Trzeba dodać, że takiemu stylowi życia, oprócz młodości i braku doświadczenia, sprzyjała atmosfera dworu Katarzyny. Było aż nazbyt swobodnie. W orgiach Aleksandrowi i Golicynowi towarzyszył młodszy brat wielkiego księcia – Konstanty. Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na losy małżeństwa

Aleksandra i Jelizawiey. Młodzi małżonkowie coraz bardziej oddalali się od siebie. Aleksander lawirował teraz nie tylko między ojcem a babką, ale także między żoną a kompanami i bohaterkami przelotnych miłości. Jelizawieja Aleksiejewna czuła się lekceważona i poniżana i coraz bardziej samotna na obcym dworze. Pisała o tym w listach do matki. Musiała to czynić bardzo ogłędnie, wiedziała bowiem, że jej korespondencja jest kontrolowana. Aleksander zafascynowany teatrem marionetek i licznymi romansami ze śpiewaczkami i aktorkami, zapominał o młodej żonie. Ta, w czasie swego życia w Rosji, napisała do matki ponad 15 tysięcy listów – nie licząc listów do siostry Fryderyki.

Młoda para mieszkała w Pałacu Aleksandrowskim, który wybudowano specjalnie dla nich, oczywiście na polecenie Katarzyny II. Dworem twardą ręką zarządzała jego matka Maria Fiodorowna – szczególnie po śmierci męża, kiedy poczuła się „matką dynastii”. Paweł nie okazywał szczególnych względów synowej, szczególnie po wstąpieniu na tron. Relacje Jelizawiey nie ułożyły się dobrze także z siostrą Aleksandra – wielką księżną Anną. Na całość atmosfery przemożny wpływ miało także napięcie między Pawłem a Katarzyną II. Anna i Katarzyna II otoczyły Jelizawietę siatką szpiegów. Od pierwszych dni pobytu w Rosji stała się ona obiektem natrętnych zalotów Płatona Zubowa, ostatniego faworyta carycy. Jelizawieja prosiła Aleksandra o interwencję w tej sprawie, jednak bezskutecznie. Do tych kłopotów doszły jeszcze prostackie „komplementy” ze strony księcia Konstantego, który był znany jako osobnik mocno niezrównoważony. Jak widać cena za przyszłą koronę była bardzo wysoka.

Jelizawieja, inteligentna, ocytana, znająca kilka języków obcych, szybko

opanowała język rosyjski. Interesowała się życiem kulturalnym Rosji. Była bardzo ciekawą interlokutorką, w jej salonie gościła elita intelektualna tamtych czasów. Panowała tam pełna swoboda wypowiedzi. Osobisty sekretarz wielkiej księżnej był starannie wykształcony, studiował m.in. w Anglii. To jemu zostało powierzone zorganizowanie salonu Jelizawiey. Nikołaj Michajłowicz Łonginow, bo tak się ów sekretarz nazywał, był jednym z tych cichych, nieomal bezimiennych ludzi, którym rozmaici władcy (nie tylko w Rosji) zawdzięczają swój splendor mówców i animatorów kultury. Sprawiedliwe to pewno nie jest, ale cóż począć...

Na horyzoncie pojawiła się kolejna postać – Aleksandr Sergejewicz Puszkina. Do dziś puszkiniolodzy wiodą spory o to, które z tekstów są poświęcone Jelizawiecie Aleksiejewnie. Sam Puszkina zadania nie ułatwiał. Swoje teksty „szyfrował” różnymi inicjałami, by nie narażać jej reputacji na szwank. Oficjalnie dedykował swoje poezje któreś z dam dworu lub żonie. Po raz pierwszy poeta jako nastolatek spotkał Jelizawietę podczas ceremonii otwarcia Liceum w Carskim Siole. Do końca życia pozostał pod jej urokiem. W 1816 roku carska para mieszkała w Carskim Siole i Aleksandr Sergejewicz często widywał Jelizawietę spacerującą po parku w towarzystwie damy dworu. Podobno, jako czternastolatek, nawet podglądał ją podczas kąpieli w jednym z pałacowych stawów. Na tak zwanej „licie donżuańskiej” Puszkina tylko jedno imię z listy „zdobyczy” poety kryje się pod inicjałami „NN”. Fakt ten przypada na rok 1816. W roku 1820 Puszkina dosięgła niełaska cara Aleksandra. Nie był już demokratycznie nastawionym władcą, stał się reakcyjnym konserwatystą. Przyjaciel Puszkina, historyk N. Karamzin poprosił Jelizawietę by wstawiła się za po-

etą. Dzięki interwencji Jelizawieyty trasa zsyłki Puszkina wiodła nie na Syberię, a na południe Rosji.

W 1829 roku Puszkina w drodze na Kaukaz odwiedził dom kupców Dorofiejewów, w którym zmarła Jelizawieyta. Jej śmierć nastąpiła w drodze powrotnej z Taganrogu, gdzie w 1825 roku zmarł car Aleksander, do Petersburga w roku 1826. Puszkina permanentnie zakochany w kolejnych damach, nigdy nie ukrywał ich imion, a czasami i pełnych nazwisk. Tylko jedno zachował w tajemnicy i zarówno historycy jak i jego biografowie twierdzą, że to Jelizawieyta Aleksiejewna na zawsze pozostała jego tajemniczą, bezimienną żoną.

Kolejnym, jakże romantycznym epizodem była znajomość Jelizawieyty Aleksiejewny z Ludwigiem von Beethovnem. Wielki kompozytor miał najprawdopodobniej poznać Luizę (jeszcze wtedy) jako małą dziewczynkę. Gdy w roku 1814 przed Kongresem Wiedeńskim Aleksander i Jelizawieyta Aleksiejewna odbywali podróż do Niemiec, by spotkać się z rodziną von Baden, prawdopodobnie doszło do ponownego spotkania. Pojawiła się niepotwierdzona, ale prawdopodobna wersja, że to właśnie wtedy powstała miniatura fortepianowa „Dla Elizy”, a jej adresatką była carowa. Czy to prawda? Przyjmijmy, że tak właśnie mogło być.

Wróćmy do lat młodości carowej. Od początku jej życie na dworze nie było łatwe, mimo mądrości i nieodpartego uroku wielkiej księżny. W 1796 roku Katarzyna swatała swoją wnuczkę Aleksandrę z królem szwedzkim Gustawem IV. Zamiar spalił na panewce. Oficjalnym powodem porażki był brak zgody carycy na zmianę wyznania Aleksandry. Prawdziwym powodem jednak było zauroczenie króla Jelizawieytą, która chciała odwrócić



Księżę Adam Czartoryski

uwagę Gustawa od swej osoby. Zastosowała podstęp. Pokazała mu portret bliźniaczko do siebie podobnej siostry Fryderyki.

Pretendent do ręki carskiej wnuczki wykorzystał pretekst zmiany wyznania i niezwłocznie udał się do Baden w roli swata. To spowodowało, że nie tylko caryca ale i Paweł z żoną Marią Fiodorowną stali się największymi wrogami Jelizawieyty. Do trudnej sytuacji dołożyła się również zemsta nieokrzesanego i niezrównoważonego Konstantego, który nigdy nie zapomniał carowej odrzucenia jego prymitywnych zalotów.

Życie dworskie przynosiło wciąż nowe niespodzianki i otwierało niespotykane możliwości. W roku 1795 na dworze carycy pojawili się bracia Czartoryscy – Adam i Konstanty. Byli zakładnikami. Takie praktyki stosowano „od zawsze”,

chcąc zapewnić wielkim mocarstwom lojalność ze strony mniejszych uczestników gry politycznej.

Adam zaprzyjaźnił się z wielkim księciem Aleksandrem. Zaczął robić błyskawiczną karierę. W roku 1796 został adiutantem Aleksandra. Para wielkoksiążęca mieszkała wówczas w Carskim Siole i częstokroć zapraszała Czartoryskiego na rodzinne kolacje w gronie trzech osób. Gdy księżna podtrzymywała żywioną konwersację z Adamem, Aleksander oddalał się. W takich okolicznościach nawiązała się przyjaźń, a potem romans. Na dworze nazwano go od razu „trójkątem małżeńskim”. Książę Adam Czartoryski był młodym, atrakcyjnym mężczyzną, wykształconym i elokwentnym. Był o 9 lat starszy od Jelizawiey, miał niezwykle charyzmatyczną osobowość. Był masonem wychowanym przez jezuitów w duchu makiawelizmu. Aleksandrowi i Jelizawiecie bardzo imponował rozległą wiedzą i znajomością wielkiego świata. Wielka księżna bardzo potrzebowała bratniej duszy. Do Adama zbliżała ją to, że oboje byli cudzoziemcami, którzy nie z własnej woli znaleźli się w Rosji. Oczywiście, że oboje nie do końca rozumieli Rosję i nie żywili do niej ciepłych uczuć. Katarzyna II bardzo chciała, by jej ukochany wnuk Aleksander miał szybko potomka. Na romans Czartoryskiego i Jelizawiey patrzyła przez palce. Dwór trząsał się od plotek i rozpowszechnianych nieoficjalnych informacji. Mówiono między innymi o bezpłodności Jelizawiey, o rozwiązaniu małżeństwa i o niehonorowym odesłaniu wielkiej księżnej do rodzinnego Baden. Rezultatem romansu była córka Maria, urodzona w 1799 roku. Przeżyła zaledwie rok.

Mimo, że Aleksander uznał córkę, wszyscy wiedzieli kto jest jej ojcem. Dziecko było niemal kopią Adama Czartoryskiego. Sam car Paweł zapytał damę

dworu: „...Jak to możliwe, że u pary blondynów pojawiło się czarnowłose dziecko?” Dama dworu odrzekła przytomnie: „Panie, Bóg jest wszechmocny”. Co do głośnego romansu, wiadomo, że Aleksander bardziej przeżył stratę Adama-przyjaciela, niż zdradę żony.

Porywczy i mściwy Paweł chciał zesłać Czartoryskiego na Syberię. Dostojnicy dworscy i dyplomaci wyperswadowali mu, że korzystniejsze będzie wyciszenie sprawy i wysłanie „winowajcy” na placówkę dyplomatyczną. Miejscem „zsyłki dyplomatycznej” okazał się znowu Turyn, ten sam, dokąd skierowano A. Razumowskiego, który uwiódł pierwszą żonę Pawła.

Czartoryski wrócił do Petersburga w roku 1801. Później, za panowania cara Aleksandra I został wiceministrem, a następnie bardzo szybko awansował na kanclerza – ministra spraw zagranicznych. Był członkiem wielu tajnych komisji powołanych przez młodego cara. Aleksander wysoko cenił jego intelekt, podobne pojmowanie problemów polityki i instynkt państwowiec. Książę Adam Czartoryski na zawsze opuścił Petersburg w 1810 roku. Z Jelizawietą Aleksiejewną spotkali się jeszcze raz na Kongresie Wiedeńskim. Adam dochował wierności Jelizawiecie przez 15 lat. O wiedeńskim spotkaniu carowa bardzo ciepło pisała w listach do matki, a Czartoryski z sentymentem uwiecznił je w swych pamiętnikach.

Czartoryski ożenił się dopiero w roku 1817 z osiemnastoletnią Anną Sapieżanką, wnuczką faworyta Katarzyny II.

Ten okres w życiu carskiej pary był wyjątkowo trudny. Podczas pobytu w Wiedniu, car zaangażowany w liczne przelotne romanse, mało uwagi poświęcał żonie, pełniącej tam funkcje wyłącznie reprezentacyjne. Mówiono nawet, że Jelizawiea nie wróci już do Rosji i pozo-

stanie u rodziny w Badenii. Raporty policji austriackiej bacznie obserwującej rodzinę carską, akcentują wyjątkowy chłód i lekceważenie małżonki przez Aleksandra. Zwracano uwagę na jego dość liczne „zauroczenia” innymi damami. Uroda Jelizawiey jeszcze nie zgasła, wciąż budziła podziw i sympatię. Zachowały się opinie współczesnych. Madame de Staël widzi w niej „anioła Rosji”, a hrabia de la Garde pisał z zachwytem: „Cóż za cudowna postać, jej oczy odzwierciedlały czystość duszy. Miała przepiękne popielate włosy, które przeważnie spływały jej na ramiona. Jej kibić była elegancka, szczupła i giętka, a jej chód, nawet pod maską natychmiast ją zdradzał. Z uroczym charakterem łączyła żywy i wykształcony umysł, zamiłowanie do sztuki i bezgraniczną szlachetność”. (H.Troyat „Aleksander I, 2016).

Jelizawiea wybaczyła carowi czynione jej afronty i powróciła do Rosji. Skandal chwilowo zażegnano.

Sytuacja Jelizawiey z chwilą wstąpienia w 1796 roku na tron Pawła była bardzo trudna. Nowy car demonstrował niechęć do synowej. Nie potrafił jej wybaczyć zdrady i czarnowłosej córki. Dworem trzęsła żadna władza Maria Fiodrowna. Choć obie były Niemkami, więcej je dzieliło niż łączyło. Nowa faworytka Pawła I, Anna Łopuchina nie należała do osób subtelných. Nie umiłało to życia Jelizawiecie.

Wydawało się, że wstąpienie na tron Aleksandra po tragicznej śmierci Pawła w 1801 roku odmieni jej los i ponownie zbliży małżonków. Niestety już w 1801 roku Aleksander, który zawsze lubił towarzystwo kobiet, podobno miał liczne romanse w Europie, uległ urokowi damy dworu swej żony Marii Naryszkińy. Aleksander oświadczył publicznie (nie raz), że jego małżeństwo to czysta formalność i że ma prawo „dysponować dowolnie swoim sercem”. Romans cara z Naryszkińą

(niezależnie od równoległych przelotnych związków) trwał prawie 15 lat. Nie dziwi fakt, że carową coraz częściej widziano bardzo smutną i przygnębioną.

Zajęła się dobroczynnością. Co ciekawe – nie afiszowała się z tym, obowiązki carowej wykonywała rzetelnie, mimo świadomości, że jest aktorką drugiego planu. Pierwszą rolę odgrywały carowa-wdowa i faworytka cara. Mimo, że miała duże wsparcie mieszkającej na dworze siostry Amalii, nie była w stanie przezwyciężyć melancholii.

Początek wieku był burzliwy nie tylko w Rosji. Kampania napoleońska objęła całą Europę. Aleksander często przebywał poza granicami cesarstwa. W 1805 r. (według innych źródeł w 1803 r.) Jelizawiea uległa urokowi młodego oficera, bardzo przystojnego intendenta armii carskiej, A. Ochotnikowa. Ich potajemny romans trwał półtora roku (według innych źródeł prawie trzy lata), a poprzedzony był długim okresem przelotnych spojrzeń i przypadkowych spotkań. O romansie wiedziały tylko dwie frejliny i siostra Amalia. Zakochani wymieniali miłosne liściki, carowa przechowywała je w swojej szkatulce. Gdy ciąża carowej była już widoczna, powiadomiono Aleksandra. Informacja dotarła także do jego siostry, brata i matki. Nie dopuszczono do dalszego rozprzestrzeniania się tych wieści. W pałacu A. Ochotnikow po wyjściu z teatru został ugodzony sztyletem przez nieznanego sprawcę. Inna wersja mówi o trafieniu zatrutą kulą. Sprawcy nigdy nie odnaleziono, chociaż należy wątpić, czy kiedykolwiek szukano. Jeżeli chodzi o narzędzie zbrodni, krążyły różne przypuszczenia. Nigdy natomiast nie było wątpliwości, że inspiratorem zbrodni był wielki książę Konstanty. Mścił się w ten sposób za niegdysiejsze odrzucenie zalotów. Jelizawiea Aleksiejewna nigdy nie ukrywała obrzydzenia do brutalnego i or-

dynarnego szwagra. Według innej wersji Konstanty bronił honoru brata i rodziny. Sprawę szybko wyciszono. Krążyły pogłoski, że konspiracyjcy gwardziści (znani później jako dekabryści) chcieli się pozbyć „koczującego despoty”. Określenie to ukuł Aleksander Puszkina, by oddać sposób zarządzania państwem „z okien karety”. Gwardziści, według niektórych źródeł, chcieli osadzić na tronie bezdzietną carową jako Jelizawietę II. Krok ten miał być wstępem do utworzenia republiki. Ochotnikow był wszak gwardzistą, nie wiadano jednak jaką ma pozycję wśród innych gwardzistów. Sprawa zatem pachniała zamachem stanu, jak za poprzednich carowych, wnoszonych na tron na gwardyjskich bagnietach.

Jelizawieta uczyniła krok całkowicie łamiący zasady etykiety dworskiej. Krok tyle niemądry, co niewybaczalny. Odwiedzała bowiem ciężko rannego oficera w jego domu. Zostawiła pukiel włosów, co wówczas było wyrazem wielkiej więzi emocjonalnej. Opiekowała się A. Ochotnikowem do końca, zmarł na jej rękach 27 stycznia 1807 roku w wieku 26 lat. Został pochowany na cmentarzu św. Łazarza. Jelizawieta ufundowała bardzo wymowny w swej symbolice nagrobek. Marmurowy monument zachował się do dzisiaj. Przedstawia złamany piorunem dąb, nad nim skałę, a pod skałą płaczącą kobietę z twarzą zasłoniętą welonem. Postać trzyma w rękę urnę, na której wyryte jest imię i nazwisko zmarłego i data jego śmierci. W dniu śmierci Ochotnikowa urodziła się druga córka carowej – Liza, którą car Aleksander uznał za swoje dziecko. Dziewczynka, podobnie jak jej starsza siostrzyczka zmarła w wieku 13 miesięcy. Na dworze powtarzano wersję, że obie córki z zemsty kazał otruć księżę Konstanty. Dla Jelizawiety był to podwójny cios. W liście do matki pisała: „Wszystko, co kocham, Bóg mi zabiera...”



Aleksander Puszkina

Wróćmy do postaci faworyty cara Aleksandra – Marii Naryszki. Car Aleksander, pożeracz damskich serc, poznał ją podczas balu zapustnego w lutym 1801 roku. Maria z domu Czetwertyńska urodziła się w 1779 roku w Warszawie. Była córką Antoniego Czetwertyńskiego, targowiczana, zwolennika zbliżenia z Rosją. Podczas powstania kościuszkowskiego Czetwertyński został powieszony przez zrewoltowany tłum.

Katarzyna II za lojalność szczerze nagrodziła wdowę z trójką dzieci. Maria w wieku 15 lat została damą dworu, jej młodsza siostra także, zaś brat trafił do korpusu kadetów. Marię w wieku 16 lat wydano za mąż za 37-letniego Dymitra Naryszki. Dymitr pochodził ze starego książęcego rodu, z tego samego, z którego pochodziła Natalia – matka Piotra I. Rodzina Naryszkińców zawsze była blisko związana z władcami Rosji. Maria Naryszkińska słynęła z niezwyklej urody. Usłużny wobec dworu poeta G. Dierżawin w swoich odach porównywał ją do żony Peryklesa – Aspazji. Opinie o Marii Naryszkińce bywały skrajnie odmienne. Według jednych była kobietą skromną,

taktowną, małomówną i dobrą. Częściej jednak mówiono o niej jako o bezczelnej skandalistce, zachowującej się wyzywająco wobec carowej Jelizawiey. Tak było, gdy informowała ją o swych ciążach. Obie wiedziały, kto jest ojcem dziecka.

Jej gracją i urodą zachwycił się angielski ambasador i wnikliwy obserwator życia dworskiego F. Viegel. Pisał, że jej uroda była tak doskonała, że wydawała się wprost nieziemską. Idealne rysy twarzy współgrały z posagową sylwetką, podkreślaną prostotą kroju jej sukien – przeważnie białych. W przeciwieństwie do innych dam na balach nie była obwieszona kosztowną biżuterią. Była gwiazdą balów dworskich jeszcze za czasów Pawła I. Niestety, zachowało się tylko kilka portretów, które nie zawsze są dokładne i wiernie.

Urodą Naryszkińny zachwycił się także Aleksander Puszkina. Maria prowadziła salon, w którym bywali najwyżsi przedstawiciele władzy, a także artyści. Bajecznie bogaci Naryszkinowie prowadzili dom otwarty, urządali wystawne bale, na których podawano trzy obiady przyrządzane na sposób włoski, francuski i rosyjski. Posiłkom akompaniowała orkiestra złożona z czterdziestu muzyków. Bal tradycyjnie otwierał polonez. W pierwszej parze tradycyjnie tańczyli Maria i car Aleksander. Naryszkinowie przyjmowali nie tylko całą arystokrację. Bywał u nich niemal cały dwór. Mawiano, że jeśli kogoś przyjmowano u Naryszkinów, to wszystkie salony Petersburga były dla niego otwarte.

Zimę spędzali w luksusowym pałacu nad Fontanką, a lato w rezydencji „Ma Folie” na Wyspie Krestowskiej. Poza tym mieli pałac we Florencji i willę w Fiesole. Podczas spektakli teatralnych Maria Naryszkińska zasiadała w carskiej łóżce. Jej stroje były obiektem zazdrości wszystkich dam. Naryszkińska, dysponując olbrzymim

majątkiem, mogła być niezależna, także od cara Aleksandra. Do tego jej mąż był niezwykle wyrozumiały dla postępowania Marii. W salonach nazywano go złośliwie „mistrzem łóżki masonskiej rogaczy”.

Gdy Maria została carską faworytą Naryszkińny otrzymał godność wielkiego łowczego. Zachowała się anegdota, według której car miał zażartować: „skoro przyprawiłem mu rogi, to oddaję mu re-sort jeleni”.

Aleksander z Marią Naryszkińną tworzyli równoległą rodzinę, w której rodziły się dzieci. Mąż urzędowo je uznawał, choć faktycznie był ojcem tylko najstarszej córki Maryny. Inne źródła mówią, że Maryna była owocem romansu Naryszkińny z Płatonem Zubowem, ostatnim faworytem Katarzyny II.

Ze związku z carem urodziło się troje dzieci (według niektórych źródeł sześciu, trzy córki zmarły w niemowlęctwie). Ukochaną córką była Sofia, urodzona w 1808 r. o tej córce znajdujemy wiele ciepłych słów w listach carowej Jelizawiey. Ostatnim dzieckiem Aleksandra i Marii był syn Emanuel, urodzony także w 1808 roku.

Naryszkińska nalegała na rozwód cara i legalizację „równoległej rodziny”. Niebagatelnym argumentem miał być właśnie syn Emanuel, który mógł stać się następcą tronu. Niestety car nie zgodził się na taką propozycję. Podejrzał bowiem, że Emanuel może być synem jego adiutanta Ożarowskiego, z którym zastał Marię w niedwuznacznej sytuacji. Car przekazał Dymitrowi Naryszkinowi 300 tysięcy rubli na zabezpieczenie przyszłości dzieci.

Maria Naryszkińska była w trudnej sytuacji. Nie miała ochoty wtrącać się w sprawy państwowe, jednakże była pod silną presją licznej polskiej społeczności zamieszkującej w Petersburgu. Polacy oczekiwali od Marii, że nakłoni cara do więk-

szych ustępstw na rzecz kraju. Starania, poza niewielkimi sprawami personalnymi, niewiele przyniosły.

W 1813 roku Maria Naryszkina nawiązała równoległy romans z sekretarzem stanu G.I. Gagarinem. Pod pretekstem leczenia chorej na gruźlicę córki wyjechali na południe Europy. Car zażądał dymisji od Gagarina. Maria i Gagarin po trzech latach powrócili do Rosji, każde do swojej rodziny. Car skazał Gagarina na „honorowe zesłanie” na placówkę dyplomatyczną, możliwie oddaloną od Rosji. G. I. Gagarin zmarł w roku 1837 w Bawarii.

W roku 1824 w Petersburgu, w wieku 16 lat zmarła na gruźlicę przepiękna, ukochana córka Aleksandra I i Marii Naryszkiny – Sonia. Podobno urodą przewyższała matkę. Śmierć nastąpiła w przededniu ślubu z hrabią Szuwałowem, wybranym przez Aleksandra. Po jej śmierci Naryszkinowie wyjechali do Europy. Tam Maria dowiedziała się o śmierci Aleksandra I. Do Petersburga nie wróciła. Naryszkinowie zamieszkali w Odessie. W 1838 roku zmarł Dymitr Naryszkin. Osamotniona Maria podróżowała po Europie, do Odessy przyjeżdżała nader rzadko. Podobno prowadziła bardzo burzliwe życie, a o jej romansach krążyły liczne plotki. Podobno była nowicjuską klasztoru św. Katarzyny na Półwyspie Synaj, modliła się pod Ścianą Płaczu. Ofiarowała znaczną sumę gminie żydowskiej. Została pochowana w Monachium na cmentarzu Südliche Friedhof.

Rozpacz cara Aleksandra po śmierci ukochanej córki Soni doprowadziła do jego zbliżenia z żoną Jelizawietą Aleksiejewną. Ona także była przywiązana do sympatycznej, pięknej Sonieczki. Była to też jej tragedia. Wspólny ból połączył carską parę. W celu poratowania zdrowia chorowitej, gasnącej carowej zalecono wyjazd do włoskich kurortów. Jelizawietą

stwierdziła, że chce umrzeć w Rosji. Wybór padł na prowincjonalny Taganrog nad Morzem Azowskim. Pobyt w Taganrogu (1825 r.) był okresem spóźnionego szczęścia małżeńskiego. Gdy stan zdrowia Jelizawiety zaczął się poprawiać, car zachorował i wkrótce zmarł. Stan Jelizawiety na tyle się pogorszył, że nie była w stanie towarzyszyć zwłokom męża w drodze do Petersburga. Po kilku miesiącach zdecydowała się na podróż. Dotarła do miasteczka Bielowo w guberni tulskiej. Pogorszenie stanu zdrowia wymusiło dłuższą przerwę w podróży i zatrzymanie się w domu kupca Dorofiejewa, zmarła 4 maja 1826 roku. Nie pozostawiła testamentu, twierdziła, że niczego do Rosji nie przywiozła, zatem nie może niczym dysponować. Wyraziła jedynie prośbę, by jej pamiętniki przekazać Karamzinowi. Niestety Karamzin zmarł i dokumenty trafiły do rąk cara Mikołaja I. W sypialni zmarłej carowej znaleziono listy Ochotnikowa, jego portret i pukiel włosów. Kolejną osobą wtajemniczoną w romans stał się zatem Mikołaj I. Zanim spalił zawartość szkatułki, dał małżonce listy do przeczytania, potajemnie zrobiono wiele odpisów. Dzięki temu potomni dowiedzieli się o życiu osobistym carowej.

Wokół jej śmierci krążyło wiele wersji. Podobno w dniu jej śmierci w Bielowie była carowa Maria Fiodorowna i odwiedziła rankiem Jelizawietę, była już w żałobnym stroju, zdjęła z nieboszczki wszystkie klejnoty, zabrała pamiętnik i inne zapiski i niezwłocznie wróciła do Petersburga. Nocą, poprzedzającą śmierć Jelizawiety, podobno domownicy widzieli wychodzącego z jej pokoju zamaskowanego mężczyznę w czerni. Czyżby kolejna „obrona honoru carskiej rodziny”?

O tym, jak skromną osobą była Jelizawietą Aleksiejewną świadczy fakt, że od 1812 roku odmówiła przyjmowa-



Pałac Aleksandrowski

nia należnego miliona rubli jako rocznego uposażenia. Ograniczyła się do kwoty 200 tysięcy, z czego tylko 15 tysięcy przeznaczała na osobiste wydatki, resztę przeznaczała na cele dobroczynne. Decyzję o minimalnym uposażeniu podtrzymała także za panowania Mikołaja I. O jej działalności charytatywnej dowiedziano się dopiero po jej śmierci. Brylanty Jelizawiey zostały sprzedane za milion trzysta tysięcy rubli. Kwotę tę przeznaczono na rzecz Towarzystwa Patriotycznego (założonego przed laty przez carową) i domu pracy dla dziewcząt – sierot z rodzin wojskowych.

Dzieło Jelizawiey kontynuowała małżonka Mikołaja I. O bogatej osobowości carowej pod koniec XIX wieku napisał historyk rodziny carskiej, wielki książę Mikołaj Michajłowicz, wnuk Mikołaja

I. Niestety, car Mikołaj II, dbający o wizerunek rodziny carskiej, w roku 1909 osobiście skreślił rozdział o życiu osobistym Jelizawiey Aleksiejewny, na szczęście ocalał rękopis. Więcej światła na tę tragiczną w sumie postać rzucają źródła zagraniczne: listy do rodziny, wspomnienia krewnych itp. Rodzina carska robiła wszystko, by pozbawić jej dobrego imienia, nawet po jej śmierci. Korona carowej rosyjskiej okazała się dla niej zbyt ciężka i miała nikły blask. Kochała i poślubiła człowieka, który kochał wszystkie kobiety prócz własnej żony.

Życie na dworze Romanowów toczyło się jeszcze przez dziewięć dziesięcioleci. Zmienne także były losy kolejnych niemieckich księżniczek awansowanych do rangi imperatorowych. □

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Czytam to, co każdego dnia publikuje internet. I tak sobie myślę, że internet to jednak broń obosieczna. Z jednej strony fajne źródło informacji, czasem źródło tego, co starzy krakowianie określeniem „wiadomości prosto z magła”. Jak odróżnić internetowy bubel (mój wnuk powiada: „badziewie”) od tego co warto przeczytać? Gubię się w tym, nie ukrywam. Pewnie nie tylko ja, ale jestem w grupie nielicznych, którzy się do tego przyznają. Trudno – uroda życia z trudnym peselem.

Dla mnie bardziej niepokojąca jest druga, ciemna strona internetu. Chodzi o agresywne, negatywne, wrogie komentarze odnoszące się do osób lub zjawisk, czyli tzw. hejty. Tak to się chyba nazywa. To, że jest to zjawisko szkodliwe, wiedzą nawet przedszkolaki. Tyle czytamy o samobójstwach, tragediach młodych (i nie tylko) ludzi dotkniętych jadem hejtu. Bardzo często anonimowego. Nie do rozpoznania. Jakże to piękne: będąc anonimowym dokopać koleżance, koledze. Zeszmacić, odrzeć z człowieczeństwa. Powód? Bez powodu. „Dla jaj”. Bo można. Bo dlaczego komuś ma być dobrze, wesoło? Trzeba go pognać, skazać na zmartwienia, rozpacz, zmusić do desperacji. Moja wnuczka często mi opowiada o takich przypadkach. Ofiary i ich anonimowi oprawcy. Kiedyś na oszczercę i plotkarza była rada: sąd. I dziś jest to możliwe, tylko bardzo trudne. Dla zwykłego śmiertelnika upomnieć się o swoje dobre imię to rzecz prawie niemożliwa. Z powodów technicznych i z powodu luk prawnych. Także na skalę międzynarodową. Tak mi to wytłumaczył wnuk. Zapy-

tałam więc, czy nie ma na to rady. Młody spojrzął na mnie i powiedział: „Babciu, jest rada. Olać”.

Trochę mi popsuł humor. Jak to możliwe, żeby jedynym sposobem na draństwo była obojętność? A gdzie miejsce na odpowiedzialność za własne słowa i uczynki? A gdzie człowieczeństwo?

Przyszło mi do głowy kilka nieskomplikowanych myśli. Zmieniły się warunki komunikacji społecznej, człowiek zyskał (teoretyczną) anonimowość i nieograniczone (prawie) możliwości techniczne. Odpowiedzialność za zrobienie komuś krzywdy w sieci zaszła na daleki plan. Kto by się tym przejmował? Dotychczas byliśmy mentalnie w średniowieczu, a tu łups! – dostaliśmy do ręki śmiertelne narzędzie bez instrukcji obsługi i bez ostrzeżenia o skutkach niewłaściwego działania. Rozwój naszego rozumu nie nadążył za rozwojem technologii.

Więc co, poddać się? Nie. Chyba nie powiedzie się walka z hejtem, gdy rozpoczniemy ją od skutków. Trzeba z tym walczyć u jej źródeł, od momentu kiedy maluch dostanie do łapki pierwszy telefon komórkowy. Tu trzeba malcowi pomóc. Uświadomić, że i w internecie powinna obowiązywać przyzwoitość. Warto tak rozmawiać z dzieckiem, by przyswoiło sobie definicję (prostą, dziecięcą) dobra i zła. To jest zadanie rodziców. Tylko czy oni są tego świadomi, czy potrafią to uczynić?

Podzieliłam się swoimi refleksjami z wnukami. Wysłuchali. Popatrzyli najpierw na mnie, potem na siebie i oboje naraz powiedzieli: - Babciu! Powodzenia!

Babcia

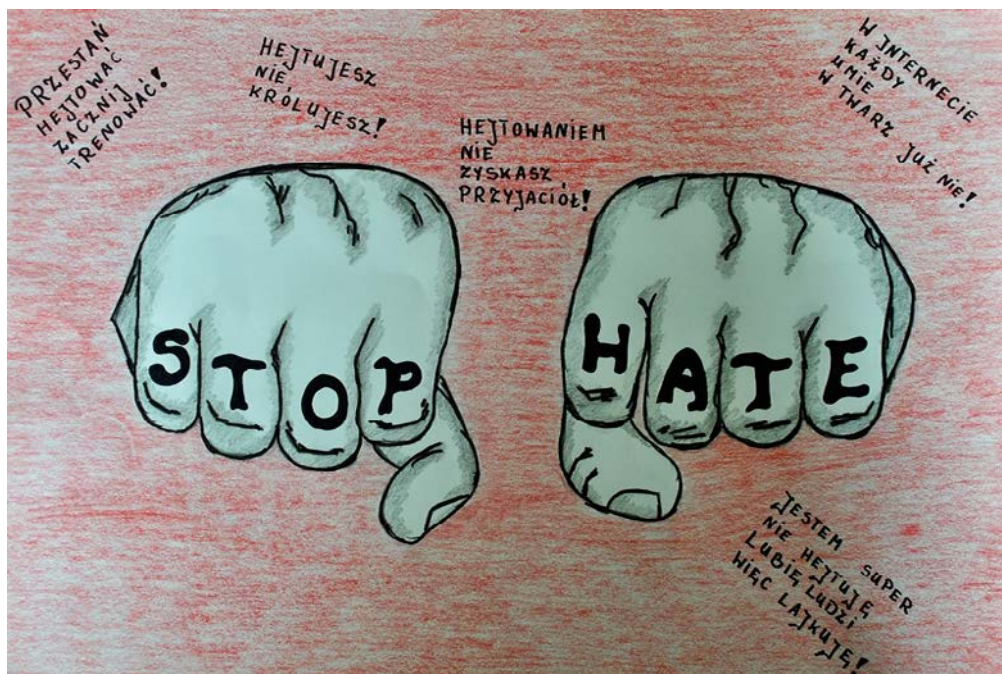
GEST

Można na różne sposoby zdefiniować gest jako zjawisko. Zawsze będzie się to łączyło z mową ciała z jego znaczeniem psychologicznym i społecznym, z symboliką przekazu. Gest zamiast słowa. Jako jego dopełnienie. Jako osobny komunikat.

Dlaczego ja tak uporczywie o tym geście? Bo zobaczyłem w różnych mediach szczupłego, młodego człowieka wykonującego gest faszystowskiego pozdrowienia. W tle flaga ONR, mieczyki Chrobrego, stosowne hasła itd. Każdemu zdrowo myślącemu człowiekowi na początek przemknęłoby przez myśl wytłumaczenie, że oto grupka idiotów nie wie co czyni i nie wie lub nie pamięta z lekcji historii, co nasze społeczeństwo wycierpiało z rąk niemieckich najemców podczas II wojny. Faszystowski gest pozdrowienia po 1945 roku zyskał w całym cywilizowanym świecie zdecydowanie negatywną konotację. – ba! – stał się powodem

wykluczenia towarzyskiego, rodzinnego. Dodatkowo od najwcześniejszych lat dzieciństwa zawsze i wszędzie mówiono dzieciom, że jest to gest hańby, którego szczególnie Polakom nie wolno wykonywać. Pamiętam także, podczas podwórkowych „zabaw w wojnę” nikt nigdy nie chciał podjąć się roli Niemca-okupanta. Gest uniesienia ręki stał się tabu. Nawet, gdy któryś z małych cymbałów zapędził się w swoich wygłupach – szybko wstydliwie się wycofywał.

Tak było. Ale i w tej kwestii skończyły się resztki przyzwoitości. Oto na stanowisko dyrektora wrocławskiego oddziału IPN został powołany były działacz faszystowskiego ONR, który nawet nie usiłował ukrywać swoich preferencji politycznych. Co więcej – w publicznym obiegu pojawiły się zdjęcia tego człowieka z ręką uniesioną w faszystowskim GEŚCIE pozdrowienia. Wiadomo też, że ten „pomaza-



niec” obecnej władzy to autor publikacji książkowej. Publikacji o nacjonalistycznym, ksenofobicznym i rasistowskim charakterze. Takie informacje budzą odruch buntu. Ale to jeszcze nic. Okazuje się, że ten człowiek jest doktorem historii. Trudno więc składać jego uczynki na karb niewiedzy, głupoty, czy niezrozumienia tego, co działo się w Polsce i Europie w latach 1933-1945.

Ten (wydawałoby się) zdrowy na umyśle mężczyzna zupełnie zignorował traumę wojny i okupacji niemieckiej, holocaust, istnienie obozów koncentracyjnych i zbrodni wojennych. Czy możliwe, żeby doktor historii (uprzednio kierujący oddziałem IPN w Opolu) nie wiedział o procesie norymberskim, o pracach ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności ukrywających się niemieckich zbrodniarzy wojennych?

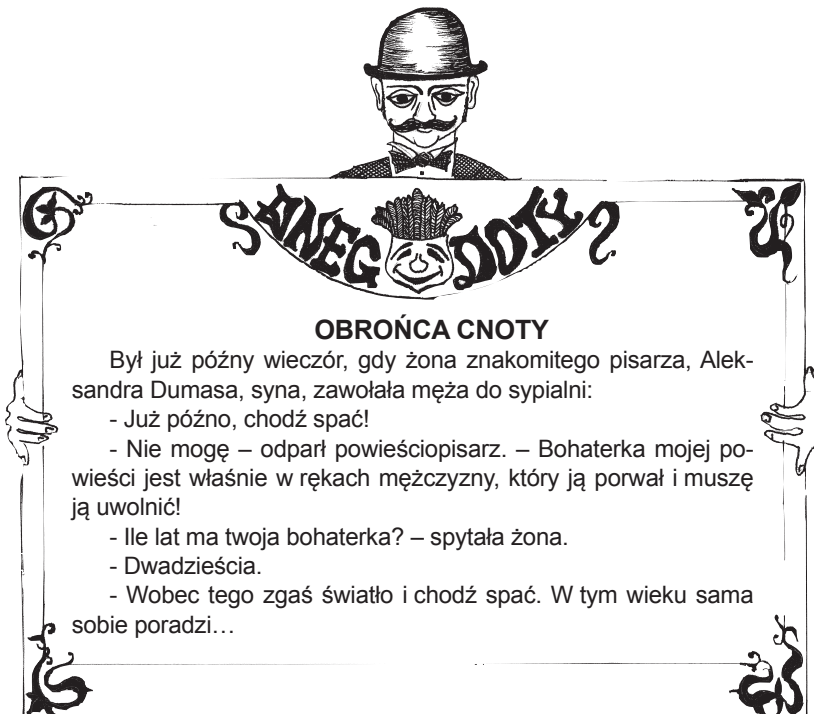
Wolne żarty.

Ten pisowski nominat mieni się polskim patriotą, powołuje się na niepodległościowe tradycje swojej rodziny. Jak to możliwe? Tego typu konstatacji jest wiele, ale to chyba wystarczy, by zadać inne, równie ważne pytanie. Brzmi ono tak: kto dopuścił tego osobnika do pracy w IPN? Idiota czy szkodnik?

Przecież informacja o tym skandalu obiegła cały cywilizowany świat. Co o nas pomyślą inni skoro Polacy – tak ciężko doświadczeni przez faszyzm – zatrudniają w IPN faszystę? Odpowiedzi nie uściślam.

Jest mi wstyd, chociaż to nie ja podpisałem tę nominację. Podejrzewam, że może być ich więcej. Celowo nie wymieniam nazwiska nieszczęsnego doktora ani jego mocodawców. Nie warto.

Marchoń





Co nam mówi nazwisko AMBROŻY KORCZBOK ROŻEK? Niewiele, no chyba że trafimy na polonistę. Wtedy natychmiast słyszymy: MIKOŁAJ REJ z Nagłowic. Dokładnie: nie urodził się w Nagłowicach, lecz w Żórawnie. Co prawda, był reprezentantem niebogatej szlachty kresowej, ale za to szczycił się licznymi koligacjami, włącznie z pokrewieństwem z arcybiskupem krakowskim Wątróbką herbu Oksza. Wiemy z reakcji choćby jego przyjaciela Andrzeja Trzycieskiego, że młodego Mikołaja nauka mało interesowała. Wolał ciekawiej i weselej spędzać czas, aż zdesperowany ojciec zaczął go podstępem pojmać i „jako wieprzka skrępowanego, na wozie z półkoszkami do konwiku jezuickiego zawieźć”. Mikołaj dopiero na dworze wojewody sandomierskiego, Andrzeja Tęczyńskiego, w wieku dwudziestu lat rozpoczął naukę pracy kancelaryjnej, łaciny, korespondencji urzędowej, rachunkowości itd.

Często przedstawia się Mikołaja Reja jako różnowiercę, podkreślając jego związki z ruchem luterańskim i kalwińskim. A przecież (o paradoksie!) nasz bohater wyrósł w domu o tradycjach katolickich (przypominamy: arcybiskup Wątróbka w rodzinie), więc proces zmiany orientacji wyznaniowej nie przebiegał zbyt gładko.

Obok pisania po polsku (na przekór obowiązującej wówczas łacinie), wielką wartością poznawczą jego utworów jest ostra emocjonalnie, celna obserwacja życia społecznego w ówczesnej Polsce.

W utworach imci Mikołaja widać znajomość przywar społecznych, krzywd i zwykłej, obrzydliwej głupoty. Gdy czytamy tekst „Krótkiej rozprawy ...”, po „przetłumaczeniu” staropolszczyzny na język współczesny, mamy ochotę wykrzyknąć: „Prorok jakiś, czy co?”. To jest siła aktualności (niestety) tekstu rejowskiego.

Już cytowany poniżej fragment (skrót) świadczy, że dla trafności spostrzeżeń zawartych w wierszu dystans pięciuset lat doprawdy nic nie znaczy.

Krótka rozprawa
między trzema osobami:
Panem, Wójtem a Plebanem,
Którzy i swe,
i innych ludzi przygody wyczytają,
a także i zbytki, i pożytki dzisiejszego świata.
Fragmenty. Wydana w 1543 r.

**AMBROŻY KORCZBOK ROŻEK
KU DOBRYM TOWARZYSZOM**

Towarzyszu, posłysz, nie maszli co czynić,
Postój mało, nie wadzić to przeczyć! (...)

Rozmawia tu z sobą trojaki stan:
Pan, wójt prosty, trzeci z nimi pleban,
Wyczytając przypadłe przygody,
Skąd przychodzą ludziom zysk i szkody.
(...)

Pan mówi:

Miły wójcie, cóż się dzieje?
Aboć się ten ksiądz z nas śmieje?
Mało śpiewa, wszystko dzwoni,
Msza nie była jako łoni.
Na naszym dobrym niesporze
Już więc tam swą każdy porze:
Jeden wrzeszczy, drugi śpiewa,
A też jednak rzadko bywa.
Jutrzniej, tej nigdy nie słyhać,
Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
Bo więc księdzu cięży głowa.
A wždy przedsię jednak łają,
Chocia mało uczają. (...)

Wójt:

Miły panie, my prostacy,
A cóż wiemy nieboracy?
To mamy za wszystko zdrowie,

Co on nam w kazaniu powie:
Iż gdy wydam dziesięcinę,
Bych był nagorszy, nie zgineę,
A dam li dobrą kolędę,
Że z nogami w niebie będę. (...)

Pleban:

(...) Bo byś baczył, miły bracie,
Na jakimci ksiądz warstacie!
Musi wszystko zaniechać,
Kto się chce wami opiekąć,
A opuścić dobre mienie,
Łatając wasze zbawienie.
Wszak wiesz, że rzemieślnik każdy
Potrzebuje płacej zawždy. (...)

Pan:

(...) Hardzie tu strząsasz porożym,
A zowiesz się posłem bożym.
Prawda, żeś jego pastyrzem,
A w wielu sprawach kanclerzem,
Lecz czasem na wełnę godzisz,
Kiedy za tym stadem chodzisz. (...)
Ale dziś wasze nauki!
Rozliczne w nich najdzie sztuki.
Nie rzecze nic żadny próżno,
Chocia z sobą siedzą różno.
Aboć wezmą, abo co daj,
Tak kazał święty Mikołaj;
Bo jestli mu barana dasz,
Pewny pokój od wilka masz.



Prace polowe – malarstwo tablicowe

Dobry też Lenart dla koni,
 Dla wieprzów święty Antoni.
 Więc świętego Marka chwali,
 Więc Piotra, co kopy pali, (...)
 Bo się już więc tam łomi chróst,
 Kiedy się zejdą na odpust.
 Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy,
 Na cmyntarzu beczka trzeszczy,
 Jeden potrząsa kobiałką,
 Drugi bębmem a piszczałką,
 Trzeci, wyciągając szyję,
 Woła, do kantora pije;
 Kury wrzeszczą, świnię kwiczą,
 Na ołtarzu jajca liczą.
 Wieręśmy odpust zyskali,
 I zechmy się napiskali. (...)

Wójt:

Miły panie, Bógżeć zapłać!
 Śnać by tobie lepiej gęś dać,

Kiedybyś nam tak chciał kazać,
 Niż ten tłusty poleć mazać. (...)

Pleban:

(...) A tkniż jedno świeckich urzędów,
 Jestli tam nie więcej błędów? (...)
 Ale co ma pleban prosty
 Ugodzić w ty dworskie chłosty;
 Zwłaszcza w kącie doma siedząc,
 Jedno co kęs od bab wiedząc,
 Abo słysząc, gdy ziemianie
 Siedząc narzekają na nie.
 Wierę śnać z sejmu naszego
 Nie słychamy nic dobrego:
 Już to kielka niedziel bają,
 A w niwczym się nie zgadzają.
 Podobno jako i łoni
 Każdy na swe skrzydło goni;
 Pewnie Pospolitej Rzeczy
 Żadny tam nie ma na pieczy.



Z kodeksu Baltazara Behema

Boć i owi z pustą głową,
Co je rzkomo posły zową,
Więcej też sobie folgują,
A to, co jem trzeba, kują.
Bo jedni są, co sie boją,
Drudzy o urzędy stoją,
Jako tako pochlebuję,
Gdy co kto smacznego czuje.
Bo acz to jest wielki urząd,
Kto chce latać ten spólny błąd,
Lecz gdy nie będzie pilności,
A prawej, spólnej miłości,
Przedsię z oną płochą radą
Na chromem do domu jadą”. (...)

Wójt:

Panie, słysząc aż straszno stać!
Jakoż prostack nie ma się bać?
Každy tu, co ji ksiądz liczy,
Ubogiego kmiecia ćwicz, (...)
Ksiądz pana wini, pan księdza,
A nam prostym zewsząd nędza, (...)
Urzędnik, wójt, szołtys, pleban,
Z tych każdy chce być nad nim pan. (...)

Pan:

Wójcie, głębokoś snać zabrnął,
Patrzaj, by się nie ochynął. (...)
A wszędy ruszasz zuchwałych,
A k'temu stanów niemałych:
Graczów, myśliwców, pijanic,
Wszytki sobie tu masz za nic;
Utratniki, białe głowy
Ruszasz zuchwałemi słowy. (...)
Ale snać mówiąc ku prawdzie,
Wielkieć zbytki wszędy najdzie, (...)

Pleban:

Panie, byś chciał wszystko baczyć,
Trzeba by się dłużej ćwiczyc.
Iście uważyc każdy stan
Trudno ma wójt, pan i pleban. (...)
Bo nam mało po tym swarze,
A nikt się jem nie ukarze.
Onym to więcej przystoi,
Co je na to szczęście stroi,
A Bóg je na to przelozył,
By sie na wszem z nich rząd mnozył,
A Rzecz Pospolita stała
Ani na czym nie chramała. (...)

Prezentujemy tłumaczenie z języka włoskiego utworu „A ROMA MIA” w wykonaniu Aldony Pałys-Pennese



„AMORE SACRO E AMORE PROFANO “

MARISTELLA, A ROMA MIA

Piu te tratteno male
E più te voglio bene.
Scriveno su li muri
Le cose più oscene
E io te voglio bene.
Se dice che fai pena
Che ormai stai alla fine
E io te vojo bene.
Ce credo in te Roma, resisti!
Fajelo vede a tutti sti foresti
Che chi ha insegnato er diritto
Nun se fa mette sotto.
E quando spunta er sole la matina,
tutto quell'oro, ricopre
la monnezza pè le strade,
le mura a ridiventeno pulite
e Roma mia riprende er posto suo,
quello che je compete...
Reggina!

/Tekst powyższy został napisany
w dialekcie rzymskim.

RZYMOWI MEMU

Im więcej się nad tobą pastwią,
Tym więcej cię miłuję.
Piszą na murach
Najgorsze sprośne zniewagi, szuje;
A ja cię miłuję.
Mówi się, że wzbudzasz litość,
Że twoje dni już się rachuje;
A ja cię miłuję.
Wierzę w ciebie Rzymie, nie daj za wygraną!
Pokaż tym wszystkim zagranicznikom,
Że ten, co nauczał praw
Nie da się trzymać pod pantoflem.
I kiedy wstaje rano słońce,
wszystko to jego złoto, przykryje
śmiecie na ulicach,
i mury powrócą znowu czyste
I Rzym mój z powrotem odzyska swoje miejsce,
to, które mu przysługuje...
Królewskie!

PIOTR SZYDŁOWSKI

W obronie wartości europejskiego Oświecenia

W roku 2017 europejskiemu Oświeceniowi poświęciłem dwa artykuły, ich treść ograniczając do prezentacji oświeceniowej etyki. W nr 73 FORUM MYŚLI WOLNEJ, cz. 1: Ogólna charakterystyka utylitaryzmu w etyce (s. 5-11), a w nr 74 cz. 2: od Francji po Polskę (s. 6-19). W roku natomiast 2018 ukazała się – w polskim przekładzie Tomasza Bieronia – książka Stevena Pinkera pt. *NOWE OŚWIECENIE. Argumenty za rozumem, nauką, humanizmem i postępem*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2018, stron 659. Autor książki Steven Pinker pracuje na Uniwersytecie Harvarda i jest autorem szeregu publikacji popularyzujących osiągnięcia w różnych dyscyplinach naukowych. Otrzymał nagrodę Pulitzera w kategorii „za literaturę faktu”.

S. Pinker w Przedmowie na s. 13 książki zapowiada: „Przedstawię odmienne rozumienie świata ugruntowane w tekstach i zainspirowane ideałami Oświecenia: rozum, nauka, humanizm i postęp. Pragnę pokazać, że oświeceniowe ideały są ponadczasowe, ale nigdy nie były bardziej aktualne niż dzisiaj. Oświecenie zdaje dziś swój egzamin, ale dziś bardziej niż kiedykolwiek wymaga energicznej obrony; płynie bowiem pod prąd ludzkiej natury, której usterki skwapliwie wykorzystują demagodzy.” I wyjaśnia, że „ideały oświeceniowe nie są dziś wśród intelektualistów przedmiotem powszechnej zgody. Zwalczają rozum i naukę pesymiści religijni, polityczni i kulturowi, którzy

przekonują, że cywilizacja zachodnia weszła na drogę ostatecznego upadku.” Pinker analizuje źródła sceptycyzmu i strachu, zapytuje, czy ludzie są ze swej istoty racjonalni, czy dla uratowania moralności potrzebują religii, czy żyjemy w epoce „postprawdy”?

Pinker próbuje na nowo sformułować ideały Oświecenia za pomocą języka i pojęć XXI wieku. Cały tekst książki poświęcony jest obronie tych ideałów. Oświecenie bowiem wniosło swoje wartości do kultury ludzkiej, a ponieważ wartości te nie są dziś powszechnie gloryfikowane, to dzisiaj nie docenia się oświeceniowych ideałów, które wszak legły u podstaw Oświecenia; nie docenia się rozumu, nauki i humanizmu. Nie tylko ich się nie docenia; lecz współcześni intelektualiści traktują je wręcz z obojętnością, sceptycyzmem a nawet z pogardą. Dlatego Pinker próbuje pokazać, że właściwie rozumiane ideały Oświecenia są wzniosłe, inspirujące i szlachetne, dają racjonalne uzasadnienie dla ludzkiego życia.

Myśliciele oświeceniowi usiłowali zrozumieć kondycję ludzką, obfitość idei, w tym również idei wzajemnie sprzecznych. Ale te wszystkie idee w epoce Oświecenia wiązały ze sobą cztery centralne kategorie: rozum, naukę, humanizm i postęp (s. 24). Myśliciele oświeceniowi nalegali, abyśmy, chcąc zrozumieć świat, nie odwoływali się do generatorów złudzeń, takich jak wiara, dogmaty, objawienie, autorytet, charyzma, wróżbiarstwo,

wizje, intuicja czy hermetyczne egzegezy świętych tekstów. Ucieczkę od niewiedzy i zabobonów umożliwiają bowiem metody naukowe, promowane przez Oświecenie – sceptycyzm, falsyfikowalność, otwarta debata i empiryzm

Pinker z całą mocą podkreśla, że ideały oświeceniowe naprawdę potrzebuje dziś obrony, ponieważ w drugiej dekadzie XXI wieku zaufanie do instytucji nowoczesnych, takich jak szkoły, szpitale, organizacje dobroczynne i agencje informacyjne, ustroje demokratyczne i organizacje międzynarodowe, dramatycznie spadło. Karierę natomiast robią populistyczne ruchy, które bez ogródek odrzucają ideały Oświecenia. Mają one wszak rodowód plemienny, nie kosmopolityczny; charakter autorytarny, nie demokratyczny. Pogardzają ekspertami, a zamiast doceniać i szanować wiedzę, przejawiają nostalgię za idylliczną przeszłością, rezygnując z nadziei na lepszą przyszłość.

Pogarda dla rozumu, nauki, humanizmu i postępu nie jest organicznym wytworem społeczeństwa, lecz ma długi rodowód w elicie intelektualnej i kulturze artystycznej. W XXI wieku antyoświeceniowe ideały można znaleźć w zaskakująco szerokiej gamie elit kulturalnych i ruchów intelektualnych. Za najbardziej alternatywną propozycję dla rozumu, nauki, humanizmu i postępu uważa Pinker wiarę religijną. Píše: „Przyjąć coś na wiarę znaczy uwierzyć w to bez dobrego powodu, a zatem wiara w istnienie nadprzyrodzonych bytów zderza się z rozumem. Religie nagminnie zderzają się z rozumem, kiedy ponad pomyślność ludzi wynoszą jakieś moralne dobro, chwałę boskiego zbawiciela, usankcjonowanie świętego tekstu, narzucanie rytuałów i tabu, wymuszanie tego samego na innych oraz karanie i demonizowanie tych, którzy tego nie robią.



Voltaire

Konflikt religii z humanizmem polega na tym, że religie cenią dusze wyżej od życia. Wiara w życie pośmiertne implikuje pogląd, że zdrowie i szczęście na ziemi to nie jest aż tak wielka wartość, ponieważ życie na ziemi to tylko nieskończone mała część naszego istnienia; że – wobec tego – przymuszając ludzi do przyjęcia zbawienia oddajemy im przysługę. Wreszcie, że męczeństwo prawdopodobnie jest najlepszą rzeczą, jaka może nam się przydarzyć.

Rozbieżności między religią a nauką weszły już do legendy i ujawniają się do dzisiaj, od czasów Galileusza, przez małpi proces¹, po badania nad komórkami zarodkowymi i zmianami klimatycznymi” (s. 50-51).

Za drugą antyoświeceniową i szerszą dziś ideę Steven Pinker uważa pogląd, że ludzie są wymiennymi komór-

¹ „Małpi proces” to potoczna nazwa procesu sądowego, który toczył się w 1925 roku w Dayton w hrabstwie Rhea w stanie Tennessee, a dotyczył darwinowskiej teorii ewolucji. Konserwatyści usiłowali zakazać jej nauczania w szkołach, była bowiem niezgodna z kreacjonizmem prezentowanym w Księdze Rodzaju Starego Testamentu.

kami organizmu – klanu, plemienia, grupy etnicznej, religii, rasy, klasy społecznej albo narodu, i że najwyższym dobrem jest chwała tej zbiorowości, a nie pomyślność jednostek, które się na nią składają. Religia i nacjonalizm to sztandarowe hasła współczesnego politycznego konserwatyzmu, które nadal oddziałują na losy miliardów ludzi w krajach znajdujących się pod wpływem tych idei.

Antyoświeceniowe stanowisko zajmują dziś wszyscy ci, którzy uważają, że religia ma wyłączność na orzekanie o tym, co jest naprawdę ważne. Cizba ludzka nie może się bez niej obyć. Jest ona (religia) bowiem częścią ludzkiej natury, dlatego kpiąc sobie z oświeceniowych nadziei trzyma się mocniej niż kiedykolwiek.

Wiele miejsca poświęca Pinker humanizmowi, którego celem jest maksymalizacja ludzkiej pomyślności w zakresie życia, zdrowia, szczęścia, wolności, wiedzy i miłości. Ale, jeśli humanizm, będący ideałem nurtu oświeceniowego, ma zachować władzę nad umysłami ludzkimi, należy go wyjaśniać i bronić za pomocą idei i języka naszej epoki. Epoka ta bowiem, ten wiek XXI, jest świadkiem nawały irracjonalizmu – negocjowania ewolucji, bezpieczeństwa szczepionek, antropogenicznych zmian klimatycznych i propagowania teorii spiskowych. Jeśli humanizm, podobnie jak i inne ideały oświeceniowe, ma zachować władzę nad umysłami ludzkimi, należy go wyjaśniać i bronić za pomocą idei i języka naszej epoki. Język ten winien być bogaty w argumenty; każdy bowiem kto spiera się na argumenty, może być pokonany za pomocą lepszego argumentu.

Humanizm jest kodeksem moralnym ku któremu ludzie grawitują, gdy są racjo-

nalni; mimo że pochodzą z różnych kultur. Pinker rozprawia się z funkcjonującymi w społeczeństwach argumentami przeciwko humanizmowi. Wykazuje, że moralne, psychologiczne i historyczne zarzuty wobec humanizmu są błędne. Analizuje argumentację religijną przeciw humanizmowi oraz poglądy, które nazywa „kompleksem romantyczno-bohatersko-plemienno-autorytarnym”. Analizując argumentację religijną pyta: „czy mamy wrodzoną adaptację do istnienia Boga – gen Boga w naszym DNA lub moduł Boga w naszym mózgu, który sprawia, że teistyczna religia zawsze będzie stawiała opór świeckiemu humanizmowi?” (patrz s. 489 i następne).

Tymczasem wiadomo, że takie same jak religijne normy (zakazy) zawierają również kodeksy moralności świeckiej. Wszak wpisano je do prawodawstwa wszystkich państw i wydaje się nawet, że występują w każdym społeczeństwie ludzkim. Weryfikowalne są wszystkie składniki teistycznej moralności, jest ona bowiem obciążona dwiema fatalnymi usterkami, mianowicie: nie ma dobrego powodu by wierzyć w istnienie Boga, oraz hipoteza o istnieniu niematerialnych dusz, które podlegają wyrokowi Bożej sprawiedliwości.

„Małpi proces” to potoczna nazwa procesu sądowego, który toczył się w 1925 roku w Dayton w hrabstwie Rhea w stanie Tennessee, a dotyczył darwinowskiej teorii ewolucji. Konserwatyści usiłowali zakazać jej nauczania w szkołach, była bowiem niezgodna z kreacjonizmem prezentowanym w *Księdze Rodzaju* Starego Testamentu. □

gazeta.pl, oprac. Sebastian Rosłon, 07.03.2021 15:35

Wrocławscy dominikanie przepraszają za członka swojego zakonu, który miał się dopuszczać przemocy fizycznej, psychicznej, a nawet seksualnej wobec dorosłych wiernych z duszpasterstwa akademickiego. Zakonnik miał stworzyć /w latach 90 – red/ mechanizmy przypominające religijną sektę, aby pod pozorem pobożności wyrządzać krzywdę innym.

Komentarze

guru133: Przeproszenie i żal za grzechy? Ok. A co z zadośćuczynieniem?

kostropacz - @guru133: Pomodlą się, oczywiście.

serenity44: A reszta? Jezuici, i inni? Kiedy publiczne bicie się w piersi i chłosta?

silvermane: Sekta w sekcie, to jak matroszka w matroszce.

wolodia.gd: Dominikanie już dawno powinni być pogonieni z Polski.

ggchmiel: Przyznają się sami? To znaczy, że za chwilę głośno będzie o czymś naprawdę grubym: (...)

zmieścisz się – @dzi1a

JP II nic nie wiedział, bo był zajęty ogłoszoną przez siebie „Nową Ewangelizacją”. Ścigał z Ratzingerem po całym świecie teologów wyzwolenia, a tolerował biskupów i kler zaprzyjaźniony z prawicowymi huntami wojskowymi w Ameryce Południowej w latach osiemdziesiątych. Po ujawnieniu skali zaginięć i mordów oraz owych przyjaźni znacznie bardziej rozwijają się tam odmiany protestanckie chrześcijaństwa.



Taka to była „Nowa Ewangelizacja” i odnowa oblicza ziemi, co spłynęła krwią np. w Argentynie. Latynoski teolog wyzwolenia był wzywany na dywanik, ale ksiądz, który leciał w helikopterze, z którego z wysokości wyrzucano przeciwników reżimu do morza z przywiązaniem kamieniem, to mógł dalej pełnić swoją posługę. *Nihil novi*, tak było i za Franco czy Ustaszów na Bałkanach, Musolliniego etc.; czy też Hoser, który po powrocie z Ruandy był delegowany do zbadania objawień w Medjugorie. Hipokryci i kłamczuchy.

pkt4a – @bzzbzzbzz

cytat:

„Truchło stawało się relikwią mocą aury biskupa. Jakby zebrać wszystkie kości jednego apostoła w całej Europie to kilka wozów drabiniastych by się uzbierało. Był popyt to i podaż była. Dobry handlarz potrafił sprzedać:

- kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, które znalezione było koło piramid,

- pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, które podczas Zwiastowania uronił,

- dwie głowy przepiórek zesłanych Izraelitom na puszczy,

- olej, w którym poganie chcieli usmażyć św. Jana,

- szczebel z drabiny, która przyśniła się Jakubowi,


- łzy Marii Egipcjanki,

- rdzę z kluczy św. Piotra,

- krople potu św. Jerzego, które wylał w walce ze smokiem.

Pisał o tym Sienkiewicz w *Krzyżakach*

(pl.wikipedia.org/wiki/Sanderus)”



Piotr Augustynek

WIOSENNIEJE

Zobacz
kot stroszy ogon
za chwilę przyjdzie
czas miałkotów
trzeba poćwiczyć gamy.

W piwnym ogródku
znowu zakwitły
nosy
w szalonej czerwieni
w biskupim fiolecie.

Sukienki się kurczą
i to zawsze wzdłuż
aż szyja będzie boleć
od rozglądania się.

Na cmentarzu
zaczyna być wesoło
sztuczne kwiaty
też chcą mieć
swoje pięć minut.



■ Przeciwności kształtują ludzi, powodzenie tworzy potwory.

Wiktor Hugo

■ Nic tak nie ujawnia prawdziwego charakteru człowieka jak żart, który go dotyka.

Georg Christoph Lichtenberg

■ Prawdziwą wielkoduszość okazujemy wtedy, gdy ten, którego wspieramy, nigdy się o tym nie dowie.

John Flavel

■ Najwięcej problemów przysparzają światu ludzie, którzy pragną być uważani za ważne osobistości.

Thomas Stearns Eliot

■ Uczony jest człowiekiem, który wie o rzeczach nieznanym innym, i nie ma pojęcia o tym, co znają wszyscy.

Albert Einstein

■ Ludzie znają dziś cenę wszystkiego, nie znając wartości niczego.

Oskard Wilde

■ Pozwalając na pojawienie się człowieka, natura popełniła coś więcej niż błąd: zamach na siebie samą.

Emil Michel Cioran

■ Niemal każdy geniusz sprawia, iż miernoty natychmiast zawierają sojusz.

Jonathan Swift

■ Ludzkość wyrasta z religii jak z sukienek dziecięcych. Wiara i wiedza nie mogą przebywać w jednej głowie.

Artur Schopenhauer



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Wiosna, Jacek Malczewski